PawełSzumił

ADAM I EWA – 2

 Tom XI cyklu

SŁOWO O SMOKU

Tłumaczył z rosyjskiego

**JACEK IZWORSKI**

Tytuł oryginału**:** АДАМ И ЕВА - 2

 Że też akurat ja musiałem się grzmotnąć! W naszych czasach, coś podobnego! To zdarza się tylko w sensofilmach. Gdyby ktoś mi to opowiadał, nie uwierzyłbym.

 Chociaż… Określenie „grzmotnąć się” nie bardzo tu pasuje. Szalanda zachowywała się całkiem prawidłowo. Przecież ani ja, ani Shayla nie odnieśliśmy ani jednego zadrapania, tylko siniaki. Mądra maszyna. I, gdyby nie te diabelskie góry, w ciągu dwu dni by się naprawiła. Skończyłoby się na dwudniowym opóźnieniu przybycia do portu. Opowiadałbym potem z dumą, jak przydarzyła mi się PRAWDZIWA katastrofa. Jak szalanda przymusowo lądowała, jak krótko ryczała syrena awaryjna i echo chodziło po wszystkich przedziałach. Jak narastało przeciążenie i nagrzewał się pancerz. Tak było naprawdę, ale nie chce mi się o tym opowiadać. A potem przeciążenie spadło do niewiele ponad 1 g i po prostu spadaliśmy. No i myślałem, bałwan, że, jeśli przeciążenie jest tak minimalne, to nie ma się czego bać. Tak zresztą było nawet lepiej. Mogę potwierdzić pod mentoskopem, że w chwili katastrofy zachowywałem się mężnie i spokojnie. A kiedy ziemia była już całkiem blisko, silniki orientacji włączyły się na najskrajniejszy forsing, jaki nawet nie śnił się konstruktorom: 12 g! Autopilot wszystko obliczył prawidłowo. Paliwa w systemie orientacji było tyle co kot napłakał, więc trzeba było hamować krótko, jednym zrywem. Niechby nawet dysze się przepaliły. No i klapnęliśmy na zbocze góry. Według alpinistycznej anegdoty o kątach 65° to pionowo, 70° – absolutnie pionowo, a 75° – nawis. Szalanda przycumowała do „absolutnie pionowego”, po czym zaczęła się staczać. Ale ciągle jeszcze próbowała nas ratować. Pochyla się, pochyla, coraz szybciej i szybciej… Nagle jak nie ryknie silnikami manewrowymi! I zatrzyma się na sekundę. Potem znowu zaczyna się staczać. I to wszystko ze zgrzytem, gruchotem, piskiem rozdzieranego metalu. Tak, a krótkimi przystankami, dotoczyliśmy się na jako tako równego miejsca. Czułem się zupełnie jak żaba w kopanej piłce. Rzemienie, utrzymujące mnie w fotelu, pozostawiły na ciele siniaki, które nie schodziły przez tydzień.

 Zaledwie wszystko zamarło, a po korytarzu pobiegły cybery: cok, cok, cok. Korytarz leży na boku, podłoga stała się ścianą. Odpiąłem się i zeskoczyłem na tą ścianę, która teraz stała się podłogą. A autopilot jakby się zakaszlał, po czym powiedział, że system ochładzania niedługo już pożyje z przyczyn technicznych, więc załoga i pasażerowie muszą natychmiast opuścić szalandę, gdyż ta ma zamiar wybuchnąć. I to niedługo, więc nie ma na co czekać. Załogi w tym rejsie nie było, a pasażerami byliśmy tylko ja i Shayla, śpiąca pod narkozą w biowannie. Miałem tutaj zejść, a ją wieźli na Lavandę, gdzie medycyna jest chyba najlepiej rozwinięta w całym sektorze. Głupia sytuacja. Biegnę do przedziału medycznego, wyobrażając sobie po drodze najstraszniejsze rzeczy. Może w niej nie ma serca ani płuc? Wycięli. Co ja wtedy zrobię? Na Lavandę nie wozi się z byle powodu. Obeszło się. Już się obudziła, a raczej obudził ją automat. Goła, mokra i zła jak kobra. Stoi na ścianie, która teraz jest podłogą, i rozgląda się, kogo by tu zadusić. W oczach łzy złości, pięści zaciśnięte. Autopilot kolejny raz obwieszcza, żeby ratować się, kto może, więc nie muszę jej nic wyjaśniać. Złapałem ją za rękę, krzyknąłem „Za mną!” i ciągnę do wyjścia. Ona w jakiś sposób wyrwała rękę i mówi:

 – Nie marudź. To wszystko bujda. Nie widziałeś mojego ubrania?

 Wyobrażacie sobie? Szalanda leży na boku, lada chwila wybuchnie, a dla niej – bujda! Kompletnie nie połapała się w sytuacji. Na jakiekolwiek wyjaśnienia nie ma czasu. Myślę: złapię ją, zwiążę, zarzucę na plecy i wyniosę, ale dziewczynka nagle jakby się zorientowała i mówi:

 – Przekonałeś mnie. Pokazuj mi drogę.

 Zerwała pokrowiec z jakiegoś urządzenia i za mną. A do mnie dopiero w tej sekundzie dotarło, że luk osobowy na pewno zaklinowało, a towarowy jest pod nami, leżymy na nim. A jeśli gdzieś nawet są wyrwy w korpusie, to zalane piano-hermetykiem. Ale szalanda to pojazd-cudo. Podbiegamy do śluzy. Ze śluzy oczywiście zrobiło się sadzone jajko, ale dwa cybery wycinają już luki palnikiem. Skończywszy, położyły się na kałużach stopionego metalu, robiąc dla nas kładki. Przebiegliśmy po ich grzbietach i zeskoczyliśmy na kamienie. Ja wylądowałem gładko, a Shayla widocznie się nie doleczyła, gdyż krzyknęła, skurczyła się i przyłożyła dłonie do intymnego miejsca. Bez namysłu chwyciłem ją na ręce i pomknąłem przez taras i dalej, na ukos, w dół po zboczu. Do dziś nie wiem, jak mi się wtedy udało nie skręcić karku. A Shayla wpadła w histerię i zaczęła kląć tak okropnie, że połowy tych słów nie słyszałem od mężczyzn. a to dziewczynka, ma najwyżej szesnaście lat. Nie wsłuchiwałem się w to, ale zrozumiałem, że wszyscy wokół to łajdaki, a zwłaszcza Lobasti, że tak czy owak nie będzie po ichniemu, że Mrok to łotr z łotrów, kat i ona go zabije na śmierć. Pomyślałem wtedy, że może Shaylę skierowano do kliniki psychiatrycznej, bo w życiu nie może być powodów do aż takiej nienawiści. Spojrzała na mnie i zamilkła, a potem spokojnie powiedziała:

 – Puść mnie. Pójdę sama.

 Puszczam ją, a ona nie idzie, tylko wkłada dwa palce do intymnego miejsca i wyciąga stamtąd złoty łańcuszek, a na łańcuszku – medalion. Dość duży i cały we krwi.

 – Widzisz, co ja przez tych łajdaków zrobiłam? – Ze łzami w oczach pokazuje mi medalion. – Kim teraz jestem? Walniętą tarczą? Ona mi za wszystko zapłaci, ta zielona swołocz!

 – Możesz biec?

 – Dokąd biec? Po co? Jeszcze nie zrozumiałeś? To wszystko spektakl! Dla ciebie i dla mnie. Przypadkowa awaria w górach. Myśleli, że ja z ich zwojów mózgowych nic nie zdejmę. A ja zdjęłam! Wszystko przeczytałam! I tarczę zdążyłam schować, zrozumiałeś?

 – Nic nie zrozumiałem. Trzymaj mnie za szyję, poniosę cię.

 – Nie trzeba. Z kutrem nic się nie stanie. To wszystko jest uknute! Żeby nas przestraszyć. Jeśli odejdziemy, wysadzą statek. A póki jesteśmy obok, nie odważą się.

 Popatrzyłem do góry, na zbocze. Do nas zbliżał się mały i gruby cyber z dwiema dużymi torbami w manipulatorach. Potknął się i potoczył po zboczu, zatrzymując się akurat koło naszych nóg. Wypuścił z poobijanego korpusu strużkę zielonkawego dymu, dwa razy poruszył nogą i znieruchomiał.

 – Upewniłeś się? – zapytała Shayla.

 – Co do czego?

 – Cybery się nie potykają. I kuter nie wybuchnie. To jest spektakl.

 – To nie jest kuter, tylko szalanda.

 – Jedno licho.

 Szalanda jakby usłyszała, że mówimy o niej, zawyła silnikami i lobem wzbiła się w niebo. Odwróciliśmy się na dźwięk. Ale silniki popracowały zaledwie kilka sekund i umilkły. Szalanda zamieniła się w punkcik na niebie, po czym zaczęła spadać, ale ziemi już nie dotknęła. W niebie zakwitł na moment zadziwiająco jasny kwiatek, jak chryzantema. Po minucie z drugiej strony góry do naszych uszu dobiegł łoskot.

 – Sprytne – wyszeptała Shayla.

 Już zacząłem jej wierzyć. Ale szalanda po raz ostatni zatroszczyła się o nas. Gdyby wybuchła na tarasie, zasypałaby nas lawina. Była naprawdę cudownym pojazdem, zasłużyła na pomnik. A Shayla ma chyba jakąś idee fixe. Po co tyle nawymyślała?

 – Przecież to smoki – odpowiedziała na niewypowiedziane pytanie dziewczyna. – One z każdej wykopanej jamy wyjdą czyste i suche. Nienawidzę ich!

 I tak wylądowaliśmy na Kentucky.

 Podczas gdy grzebałem w przyniesionych przez cybera torbach, Shayla z pokrowca zrobiła sobie sukienkę. Naderwała tkaninę zębami, poszerzyła rozdarcie rękami. Potem w ten sam sposób zrobiła jeszcze dwie dziury na ręce. I ubrała. Z dołu oderwała pasek materiału, przepasała się – i już ma sukienkę. Fason nie bardzo, workowata. Wiadomo – zrobiona z worka. Ale śnieżnobiała. Przynajmniej na razie. Spojrzałem na nią i zdębiałem. Piękna jak rusałka, w dodatku z mokrymi po biowannie włosami. Tylko niebieskie oczy ma złe.

 – Spójrz no,czy to nie twoje ubranie? – wyjąłem z torby zawiniątko. Spojrzała i znowu zaczęła kląć. Oburzyłem się: – Co znowu?

 – Niepotrzebnie zepsułam worek. Nie domyśliłam się. Nie doceniłam ich. Ale i oni mnie!

 – Jaki worek? Jacy oni?

 – Smoki, a któżby inny? A worek to to, co mam na sobie. Będziemy tu przecież sterczeli co najmniej miesiąc. A może i znaczniewięcej. Wiesz chociaż, co to za planeta?

 Mądra dziewczynka. Pomyślałem logicznie i doszedłem do wniosku, że co do worka ma rację. Worek by nam się przydał. A jak długo będziemy tu sterczeli – to pytanie złożone. Leciałem tu na miesiąc, więc możliwe, że wcześniej nie zaczną mnie szukać. Co prawda, szalanda leciała na Lavandę, tam na pewno się zaniepokoją, sprawdzą lot, potem obszukają radarami planetę – i nic nie znajdą. Bo szalanda wybuchła nie na ziemi, tylko w powietrzu. Rozniosło ją prawie w pył, odłamki rozrzucone są w promieniu wielu kilometrów. Nie ma na planecie ani świeżego krateru, ani dużego kawału pogniecionego żelaza, przypominającego pojazd kosmiczny. I moje radiolatarnie tam zostały. Nic nie znajdą. Kiepska sprawa. Lepiej jej nie mówić, jak kiepska.

 Podczas gdy ja nad tym rozmyślałem, ona ubrała sportowe buty, resztę wepchnęła z powrotem do torby, zapięła zamek błyskawiczny i przypięła paskami torbę do grzbietu jak plecak.

 – Daj mi, ja poniosę. Chyba za wcześnie dla ciebie na noszenie ciężarów.

 – Jestem zdrowa. – Obejrzała się i poszła na ukos po zboczu w kierunku strumienia.

 Prawidłowo. Przede wszystkim trzeba zrobić zapasy wody. Zamknąłem swoją torbę i poszedłem za nią. Shayla w podskokach schodziła po zboczu, a ja szedłem za nią i zastanawiałem się, jak dać znak ratownikom. To tylko w sensofilmach jest łatwe: wyłożyć sygnał SOS z białych kamieni na czarnej ziemi, a ratownicy są blisko. A skąd tu wziąć tyle białych kamieni? No i ratownicy są na orbicie, o ponad trzysta kilometrów, więc jakiej wielkości powinne być owe litery? O właśnie! Aha, w filmach jeszcze rozpalają trzy dymne ogniska w trójkąt. Ale żeby zobaczono je z kosmosu, muszą się naprawdę porządnie dymić, poza tym odległość między nimi musi być nie mniejsza niż kilometr, w przeciwnym razie wezmą je za jeden pożar lasu. A nas jest tylko dwoje. Na trzy ogniska trochę za mało.

 Gdy zszedłem na dół, Shayla płukała w strumieniu swój medalion. Chciałem jej powiedzieć, żeby napełniła butelkę, ale ona uprzedziła mnie, mówiąc to samo do mnie. Dziewczynka jak trzeba! Żadnej paniki i nie gorzej ode mnie wie, co potrzeba do przeżycia. Nie zdziwię się, jeśli się okaże, że pochodzi z pogranicza zamieszkałego kosmosu. No bo gdzie indziej można złapać coś takiego, co leczą tylko na Lawendzie?

 – Jesteś z Granicy?

 – Co? – Jakoś tak wnikliwie spojrzała na mnie. – Nie, jeszcze dalej.

 – Rozumiem.

 – Nic nie rozumiesz. Ale nie obrażaj się. Nie chcę cię obrażać, po prostu stwierdzam fakt.

 Rzeczywiście o mało się nie obraziłem.

 Siedzimy przy strumieniu. Shayla położyła podbródek na kolanach i z ukosa strzela oczami we mnie. A ja układam plan. Tu, w górach, nie mamy czego szukać. I nas też tu szukać nie będą, tylko tam, gdzie szalanda miała mnie wysadzić. Sam bym tak postąpił na miejscu ratowników. „Jeśli się zgubicie, spotkamy się koło fontanny…” Ale gdzie jest ta fontanna? Oto jest pytanie!

 Jeszcze raz przetrząsam torbę i znajduję… atlas Kentucky! N-tak… Dziesięć stron na całą planetę, w tym na dwu mapy. Na każdej po półkuli, i niezbyt dokładne. Aha, miejsce, gdzie powinnem był wylądować, ktoś zaznaczył ołówkiem. Mała, niewinna podpowiedź. Nie pomogłaby mi w zaliczeniu testu na przeżycie, ale jednak przyjemnie wiedzieć, gdzie na ciebie czekają. Ale gdzie myśmy wylądowali? Gór na Kentucky wystarczy…

 Shayla patrzy na mapę, wskazuje palcem najbliższe do znaku góry i mówi:

 – Jesteśmy tutaj...

 – Bywałaś na Kentucky wcześniej?

 Milczy. Siedzi, patrzy w dal. Nagrodził mnie bóg towarzyszką.

 – Nie. – Budzi się. Przyhamowana. Po chwili dodaje: – To nie jest Kentucky.

 – A co w takim razie?

 – Dublet. – Znowu umilkła. Jaki dublet? W czym dublet ma być gorszy od oryginału?

 – Czym dublet różni się od oryginału?

 – Dla nas – niczym.

 Ależ cudowna towarzyszka! Rozmowna jak cholera!

 Spaliła mnie wzrokiem, wyjęła swój medalion, otworzyła go. Ba, ale to nie medalion. To ni to komunikator, ni to radiolatarnia. Szczęknęła czymś, zamknęła, znowu powiesiła na szyję. Marszczy się, kręci głową z niezadowoleniem. No cóż, przypuśćmy, że ma rację: to są góry Kirkalena. Logiczne. Mieliśmy wylądować w kółku i odrobinę nie dolecieliśmy. Północ jest tam, południe tam, słońce – tam. Co wychodzi? Mamy iść przez góry? Ale ona nie ma nic ciepłego z ubrania. Cholera!

 – Shaylo, czy ten twój medalion to radiolatarnia?

 – Nie. tarcza.

 – Źle.

 – Nie bój się. Wyciągną nas stąd.

 – Jak? Miałem dwie latarnie: w bransolecie i w sprzączce pasa. Obie zostały na szalandzie.

 – Powtarzam: nie bój się.

 – Głuptasko, ja nie mam czego bać. Leciałem tu na egzamin ze szkoły przeżycia.

 – Wiem. Jestem riderem.

 – Rodderem?

 – Nie. Rodderzy to włóczędzy, a ja jestem riderem. Chociaż teraz to nie ma znaczenia.

 Ciekawe, skąd mnie zna? Przecież na pokład załadowali ją nieprzytomną, w biowannie.

 – Kir, proszę, włóż tarczę. – Wyciąga zza pazuchy swój medalion i podaje mi.

 – Po co?

 – Czy to takie trudne zrobić coś bez pytania?

 Ale charakterek! No to klin klinem. Też będę się upierał.

 – Shaylo, dziewczynko, nie wkładam na siebie błyskotek, nie wiedząc, co w nich jest.

 – Kir, jeśli nie włożysz tarczy, rozstaniemy się. Nie wytrzymam z tobą. Nie pytaj, dlaczego.

 – Co robi tarcza?

 – Broni. Mnie przed tobą. Bez niej jest mi bardzo źle.

 Wkładam medalion i wsłuchuję się w odczucia. Nic…. Tylko chce się jeść. Jednak ciekawe, skąd ona wie, jak się nazywam? I o egzaminie wie, i o Kentucky, i o górach. Jeśli nie wymyśla. Ale po co miałaby wymyślać?

 – Zaraz zejdziemy na dół, zrobimy zapasy jedzenia i pójdziemy przez góry.

 – Po co?

 – Tam będą nas szukali.

 – Kir, to jest uknute. Znajdą nas w KAŻDYM miejscu. Na tej planecie NIC nam nie grozi. Tu nam NIC nie może się stać. – Zamyśliła się. – Nie, tylko mnie nie może. Tobie – może.

 Urocza!

 Maszerujemy w dół. Ależ oszukańcze odległości są w górach! Wydawałoby się, że do lasu dwa kroki, a my idziemy już trzecią godzinę. Zuch Shayla! Inna dawno zaczęłaby marudzić.

 – Kir, dziesięć minut postoju. – To nie marudzenie, to rozkaz.

 – Zmęczyłaś się, malutka? – Rzucam na ziemię torbę i siadam na wystającym kamieniu.

 – Oczywiście, że się zmęczyłam. Ale nie nazywaj mnie malutką. Za to możesz nazywać mnie ścierwą. Przywykłam do tego.

 Sięga do torby, wyjmuje nóż i… puszkę konserw!!! Skąd? W sześciu wprawnych ruchach otwiera ją nożem i oblizuje ostrze.

 – Skąd to cudo?

 – Moja szurnięta mamuśka zatroszczyła się, któżby inny?

 – Shaylo, nie mów tak o matce, bo się pokłócimy. Kimkolwiek by nie była…

 – To nie kto,tylko CO. Procesory zamiast mózgu. Jej miłość można mierzyć woltomierzem.

 – Nie rozumiem. Jesteś klonem czy co?

 – Prawie. Jestem sztucznym tworem. Długo trzeba wyjaśniać.

 Próbuję sobie wyobrazić, co ja bym czuł na jej miejscu. Zamiast dobrych rąk matki – inkubator sterowany komputerem…

 Jemy nożami mięso z puszki. Tłuste, niedosolone i bez chleba. Popijamy zimną wodą z butelki. Doświadczeni turyści mawiają: jeśli jedzenie nie smakuje, to znaczy, że po prostu usiedliście do obiadu o dwa dni za wcześnie. Mówię o tym Shayli. Przygląda mi się z niedowierzaniem i niepewnie się uśmiecha – pierwszy raz od chwili lądowania.

Mięso się kończy. Oblizujemy noże, chowamy do toreb.

 – Weźmiesz puszkę czy ją wyrzucić?

 – Coś ty? Przecież to cenna rzecz – odpowiadam.

 Zabieram jej puszkę, oblizuję wieczko i wkładam do swojej torby. I nagle domyślam się, że ona wcale nie zamierzała jej wyrzucać, tylko nie chciała brudzić swojej torby. Ścierweczka. Za dwa lata dojrzeje, zaokrągli się i zamieni w prawdziwą Piękną Ścierwę.

 Popas skończony, idziemy dalej. Przemyślam sytuację – logicznie, systemowo, wielostronnie, jak mnie uczono. Dla mnie to bardzo łatwe. Sytuacja nie podoba mi się – z żadnej strony. Shayla jeszcze nie przesiąknęła powagą chwili. Może tak jest lepiej? Idzie, mamrocze sobie pod nosem, ani trochę się nie boi. A tak – może zaczęłaby panikować?

 Wsłuchuję się w jej mamrotanie. Przepraszam, chłopcy, nie miałem racji. Przesiąknęła. Przesiąknęła lepiej ode mnie. Tak z pewnością klęły portowe kurwy w czasach przed smokami. Niektórych wyrażeń nawet nie słyszałem. A u niej to idzie gładko, potoczyście, jedno słowo pasuje do drugiego. Gdzie ona się tego nauczyła w naszych czasach? Za to teraz wiem, jak kiedyś klęły portowe kurwy. Jeśli myśli się systemowo, trzeba zapytać siebie, czy to dobrze, czy źle. A może zapytać ją?

 Łypnęła w moim kierunku pełnym złości spojrzeniem – i zamilkła. Nie będę jej o nic pytał. Odpowie mi grubiańsko, a my musimy stworzyć kolektyw. Zwarty i przyjacielski.

 Pod wieczór dochodzimy do lasu. Robi się zimno. Shayla ubiera wszystko, co ma, a na wierzch sukienkę z worka. Budujemy razem szałas. Wspólna czynność nas zbliża. W szałasie oczywiście jest cieplej, ale niewiele. Shayla nalega, żebyśmy się położyli przeciwstawnie.

 – Uspokój się,, nie będę cię macał.

 – Głuptasie,nie chodzi o ciebie, tylko o tarczę. Moja głowa musi być o metr od niej, przy bliższej odległości nie działa.

 – Może ją wyłączyć?

 – Tylko spróbuj, a zobaczysz.

 Szałas stoi na pochyłym terenie, więc Shayla kładzie się głową w dół. Jej sprawa. Jeśli dzieci kapryszą, niech się wyszumią.

 Po pół godzinie kładzie się normalnie. Znajdujemy kompromis. Kładę medalion w najdalszym od niej kącie. Nakrywam nas oboje swoją kurtką. Po kolejnej półgodzinie Shayla słodko posapuje mi w pachę, przyciskając się wszystkimi swoimi wypukłościami. Jednak pobudza!

 Budzimy się o świcie i wspólnie dzwonimy zębami, mocno przyciskając się jedno do drugiego. Już się nie buntuje. Nie jesteśmy Eskimosami. Stopniowo robi się coraz cieplej i ponownie zasypiamy. Wstajemy w południe. Wyspani za wszelkie czasy, ale wściekle głodni.

 Znalazłem zagajnik sekondyjskiego bambusa. Nic lepiej od niego nie nadaje się do wycięcia broni, więc teraz siedzimy plecami do siebie i strugamy ją. Ja pikę, Shayla łuk. Dobra pika mi wyszła. Może zrobić jeszcze parę dzirytów? Nie, później. Za bardzo chce się żreć. No, gotowe! U Shayli też. Strzały bez pierzastej brzechwy, poza tym dobre.

 – Wieczorem spotykamy się koło szałasu. – To nie ja mówię, tylko Shayla. Ma taki talent. Regularnie wyprzedza moją replikę o parę sekund. Rozstajemy się. Ja w prawo, ona w lewo.

 Wracam z pustymi rękami. No, niezupełnie z pustymi. Mam pęk dziesięciu sekondyjskich norików. Gdybym był sam, to bym je oczywiście zjadł, ale pokazywać się Shayli z taką zdobyczą… Wielkie chłopisko z dwumetrową piką – i dziesięć norików… Wieszam pęk na drzewie. Najpierw zobaczę jej zdobycz.

 Dobrze zrobiłem, że zostawiłem noriki. Shayla przyniosła trzy duże ziemskie ptaki podobne do głuszców i jednego miejscowego, z zieloną krwią. Już oskubała, wypatroszyła i ziemskie piecze na rożnach.

 – Miejscowego upierzonego nie piekę. Nie wiem, czy on jest jadalny, czy nie.

 – Prawidłowo. On jest niejadalny. Na Kentucky bardzo łatwo odróżnić jadalnego od niejadalnego. Jeśli krew czerwona, to znaczy, że jadalny. Tu połowa żywca jest miejscowa, połowa z Ziemi i połowa z Sekondu.

 – Aż trzy połowy? Nie za dużo?

 – Tak mi powiedzieli, więc tak ci przekazuję.

 – Opowiedz, co wiesz o Kentucky.

 To nietrudne i nie zajmie dużo czasu, gdyż wiem niewiele. Że lecę na Kentucky dowiedziałem się pięć minut przed startem i wysłuchałem pięciominutowego instruktażu. Takie są reguły, gdyż w przeciwnym razie nie byłby to test przeżycia. Zresztą instruktor uczciwie mi powiedział, że Kentucky to sanatorium. Jaka planeta, taki instruktaż. Na Pandorę kursantów przygotowuje się dwie doby. I tam wolno z ludźmi się kontaktować, nawet mieszkać na bazie – pod warunkiem, że ją znajdziesz. Znalazłeś bazę, połączyłeś się z dziekanatem – to znaczy, że zdałeś i możesz już jechać na górę, nie czekając na koniec terminu.

 Jemy gorące, aż parzące mięso o smaku… hm, specyficznym. Brakuje odrobiny soli. Uśmiecham się do Shayli, ale ona do mnie nie. Nasrożyła się jak pies, który nie ma powodu do ryknięcia, ale na wszelki wypadek podnosi górną wargę i odsłania kły. Dziwna, ale przy tym piękna – tylko trzeba to zrozumieć.

 – Jak rozpaliłaś ognisko?

 – A co w tym takiego złożonego?

 – Skąd wzięłaś ogień?

 – A-a, zapalniczką. A ty jej nie masz czy co? – Przetrząsam torbę jeszcze raz i nie znajduję. Mówię jej to. – To znaczy, że moja mamcia się postarała. Przecież ja zaliczenia nie zdaję.

 Siedzimy, patrzymy na płomień ogniska. Nie chce mi się iść do szałasu, bo tam zimno. Ale ognisko się wypaliło, już tylko ledwie tlą się węgielki. Czas na spoczynek. O rany! Szałas prawie po dach nabity sianem! Shayla śmieje się za plecami.

 – Kiedy zdążyłaś to zebrać? – pytam. Wzrusza ramionami.

 Zakopujemy się w siano. Jest świeże, dopiero zaczęło gnić i wydziela ciepło. Rozkosz! Dwa do zera dla Shayli. Oczywiście, przecież ona jest z pogranicza. A ja z miasta. Dziecko techniki, zurbanizowane do cna. Nie ma tu czego zazdrościć. Każde z nas ma swoje silne strony. Razem stanowimy drużynę. A jednak ona jest dziwna. Gdy wyszła z szalandy, gadała jak wariatka. No bo co to za idiotyczny pomysł, że awaria szalandy była sprokurowana? Jakiż to miałoby sens? Ona nie jest kursantem, a dla mnie nie ma żadnej różnicy, czy szalanda odleciała, czy wybuchła. No, zostałem bez bransolety. Ale to czysty przypadek, mogłem ją włożyć jeszcze w dniu startu. W dodatku we dwójkę zawsze łatwiej zaliczyć test, a szczególnie z takim partnerem. Odpada. Drugi wariant. Awarię sprokurowano, żeby dziewczyna została na miesiąc sama ze mną. Żeby w spokojnych warunkach wyleczyła się ze swoich kompleksów. To już znacznie bardziej prawdopodobne. Drugi dzień, a ona dopiero raz się uśmiechnęła i raz zaśmiała. Czym to się zakończy? W sensie: mężczyzna, kobieta, seks i tak dalej. Zapisali jej seksoterapię? W takim razie to nieczysta gra. Należało zapytać mnie. I ją! To dlatego tak klęła! I ta tarcza, która ją chroni przede mną. Czym ona jest? Działa na moją psychikę, tłumi chuć czy co? Hm, chyba logiczne. Sprawdźmy jeszcze raz wszystkie fakty od początku. Ona mówiła, że coś przeczytała i zdążyła schować medalion…. to znaczy, tarczę w… no, w wiadomym miejscu. A gdzieżby indziej mogła schować, jeśli do biowanny idzie się nago? Dalej. Cała aparatura biowanny nie znalazła tarczy. Śmieszne: nie znaleźć kawałka metalu w ciele pacjentki. Nie znalazła – bo nie szukała. Bo nie leczyła, tylko po prostu utrzymywała ją w śpiączce. Dalej. Szalanda buch, my wyłazimy i Shayla wkłada tarczę na mnie, żebym nie naruszył jej dziewiczej cnoty. Wszystko bardzo logiczne. Z punktu widzenia właśnie logiki. A z życiowego? Dziewczynka naruszyła swoje dziewictwo samą tarczą. Bywa. Nieszczęśliwy wypadek. Ale wczoraj bardzo ją chciałem. Powstrzymałem się, ale z trudem. Może do tarczy dostała się wilgoć i coś tam się zamknęło? Trzeba będzie jutro sprawdzić. I ostatni fakt: dla pewności wysadzono szalandę. To już do niczego nie pasuje. Ile kosztuje szalanda? Kogo na to stać? Miliarderów? Dziewczynka nie wiedziała, po co ją wieźli na Lavandę czy co? Szła szalanda na Lavandę… Dalej nie pamiętam, zasnąłem.

 Rano przebieram jeszcze raz w głowie wszystkie fakty. Tarcza. Tylko ona nie pasuje do hipotezy o zwykłym nieszczęśliwym wypadku. Nawet nie sama tarcza, tylko to, że biowanna nie zdołała jej wykryć. Tylko jeden fakcik… Niestety, do zatrucia pucharu starczy jednej łzy.

 Przy śniadaniu opowiadam Shayli o nocnych rozmyślaniach. Długo, długo, długo przygląda mi się badawczo i wreszcie mówi:

 – A wiesz co, chłopcze ty umiesz myśleć. Ale najgorsze w tym wszystkim jest to, że mi się zaczynasz podobać. Cielę bo cielę, ale rokujesz nadzieje.

 – No, dziękuję! – Patrzę gniewnie w jej złe niebieskie oczy. Ma złe oczy nawet kiedy się uśmiecha. Taka osobliwość jej organizmu. – A możesz coś dodać co do meritum?

 – Mogę… ale nie chcę. A co do szalandy nie miej złudzeń. Dla smoków pieniądze są niczym. Zdublowały nam planetę, a ty „szalanda drogo kosztuje”. Słyszałeś choć o smokach?

 Też coś! Któż o nich nie słyszał? Dwa lata temu ich teatr przyjeżdżał do nas na gościnne występy. Dawały spektakle na stadionie. Nie byłem tam, ale widziałem w sensowizji. Początkowo trochę dziwnie się to ogląda. Gdy wyobrażają uprzejmość – uszy sterczą ku górze, ogon równolegle do podłogi, tylko koniuszek czujnie zagięty. Przestrach – uszy oklapnięte, skrzydła przyciśnięte, ogon pod brzuchem. Każda emocja całym ciałem. Jakby troszeczkę przesadzały z grą. Początkowo wygląda to niezwykle, ale później zapominasz, że to nie są ludzie.

 Opowiadam Shayli o spektaklu. Naszej szkole wydano dwadzieścia biletów. Oczywiście nie uściślam, że ja biletu nie otrzymałem. Oczy Shayli się rozpalają.

 – Widziałeś Wielkiego Smoka??

 – Widziałem wszystkie najważniejsze smoki.

 – Tylko on mnie zrozumie! Dziesięć lat marzę, by go spotkać. Oj, co on zrobi z Mrokiem!

 – Nie wiem, co było między wami, ale kruk krukowi oka nie wykole.

 – W takim razie nie mam po co żyć. – Markotnieje Shayla.

 Chcę ją pocieszyć, pogłaskać po główce, ale nie mogę. Wybuchnie jak trzysta ton trotylu.

 – Shaylo, jesteśmy drużyną czy nie?

 – Patrzcie go, jaki szybki! Zrozum, są rzeczy, co do których naprawdę lepiej byłoby, żebyś o nich nie wiedział. Będziesz spał spokojniej.

 Dziwna dziewczyna. Mówi jak nasz mentor. Jak gdyby opuściła kilka replik i odpowiedziała na ostatnią, jeszcze nie wypowiedzianą.

 Po śniadaniu rozchodzimy się. Wracam z jednym dużym ptakiem, siadam i go oprawiam. Zamyśliłem się tak, że wyrywa mnie dopiero jej krzyk z najbliższej odległości.

 – …Słyszysz mnie?!

 – A?

 – Mówiłam, że widziałam łosie.

 – Gdzie?!!

 Opowiada, prowadzi mnie tam, ustalamy szczegóły polowania. Kończę:

 – … i gonisz je na mnie.

 – Tak, ale samicy nie ruszaj.

 – Jak wypadnie.

 – Powiedziałam: nie ruszaj. Nie wolno bić samicy, rozumiesz? Ona kocha przywódcę stada.

 Shayla bezdźwięcznie znikła w krzakach. Ująłem pikę jak najwygodniej. Dotąd ani razu nie polowałem na grubą zwierzynę. W którą część ciała mierzyć? Ktoś mi mówił, że łosie to nie krowy i nie pasą się stadami. A te się pasą. Trzy sztuki i młode – czy to nie stado? Cielę-łosię. Nie, chyba łoszak. A jak się nazywa dziecko foki? Foczak? Nie, chyba foczę albo foczątko. No, co ona tam tak zwleka? Poszła na grzyby czy co?

 Przekładam pikę z ręki do ręki i kolejno wycieram o spodnie spocone dłonie. Gdzie uderzać? Może w gardło? Bo przecież nie w pierś.Tam są żebra, kości. Odbije się, będzie inercja. Zadepcze mnie w pełnym biegu, rozmaże po ziemi. Albo podrzuci rogami. Nie będę bił w przywódcę stada. On ma wielkie rogi. I samica go kocha.

 Łosie rozejrzały się czujnie – i nagle jak nie zerwą się do biegu. Prosto na mnie! Aż zrobiło mi się strasznie. Taka kawaleria zadepcze jak nic. Zrywam się i z okrzykiem rzucam się na dwulatka. Łoś odwraca się, na sekundę podstawiając bok. Całą swoją wagą wsadzam pikę pod ostatnie żebro, aż wpadam piersią na ciepły, sprężysty bok. W następnej sekundzie koziołkuję do tyłu. Łoś ucieka.

 Siadam na ziemi, oglądam siebie. Ręce całe, nogi całe. Warga rozbita, krwawi, ale zęby całe. Mała rzecz, a cieszy. Łosia nie ma, piki nie ma. Podbiega Shayla.

 – Coś ty, zdurniałeś??! Życie ci niemiłe?!

 – Nie krzycz.

 Obmacuje moje żebra, brzuch, upewnia się, że wszystko na miejscu. I zaczyna się śmiać.

 – Czego ty?

 – Kir, ty byłeś o włosek od śmierci. – Shayla uspokaja się z trudem. Pokazuje palcami, ile to jest ten włosek, teraz już wiem: siedem milimetrów. – On obowiązkowo powinien był cię zabić. Trafiło ci się cielę takie samo, jak ty. Nie zrozumiał, że polujesz na niego, myślał, że chcesz się z nim pobawić.

 – Zwierzęta nie myślą.

 – A żebyś wiedział! Stary łoś zdzieliłby cię przednim kopytem w czoło i nawet nie spowolniłoby to jego biegu. No już dobrze. Idziemy dobijać postrzałka.

 – Przecież uciekł.

 – Przebiłeś go na wskroś, więc daleko nie ucieknie.Polowałeś wcześniej choć raz na łosie?

 – Nigdy.

 – Gdy łoś jest na nogach, strzeż się jego przedniego kopyta. A kiedy leży – tylnej nogi – instruuje mnie Shayla już po drodze. Co chwilę się pochyla, zrywa coś i wkłada do ust.

 – Co ty robisz? Zatrujesz się!

 – To borówka. ZIEMSKA borówka – odpowiada Shayla, pokazując mi jagody.

 – Nigdy nie byłem na Ziemi. U nas borówka nie rośnie.

 Łosia znaleźliśmy o trzy kilometry od miejsca polowania. Kto powiedział, że daleko nie ucieknie? Dobrze chociaż, że ten zuch biegł prawie w kierunku szałasu. Został nam tylko kilometr. Z grubych gałęzi robię włókę, z pasków od spodni buriacki kierat, wprzęgam się i wlokę tuszę. Shayla mi pomaga. Co byśmy zrobili, gdyby uciekał w przeciwnym kierunku?

 Pod nadzorem Shayli rozdzielam świeżą tuszę i zaczynam wędzić mięso. Shayla zabiera skórę i idzie z nią nad strumień.. Pracujemy do wieczora. Dziwna rzecz: duże kawały mięsa zamieniają się w cienkie plasterki. Aż wstyd.

 Siano wyschło, grzeje źle. Shayla znów przytula się do mnie. Wychodzi jej to bardzo ufnie, aż grają we mnie męskie instynkty, które muszę hamować. Jej medalion nie pracuje czy co?

 – Shaylo, twoja tarcza zupełnie nie pracuje.

 – Pracuje. Ja to czu… czuję. Śpij.

 – Ale ja chcę ciebie.

 Zrywa się jak puszczona sprężyna. Omal nie naruszyła szałasu.

 – Ty chuju!!

 – Pilnuj swojego języka. Czy ja cię tknąłem choć palcem?

 – Więc czego ty?!

 – Co – czego ja? To ty – czego! Mam osiemnaście lat i jestem mężczyzną, może nie?

 – Wiesz lepiej ode mnie.

 – Aty jesteś cieplutka, mięciutka i… przytulasz się do mnie.

 Przegina się przeze mnie, odsuwa tarczę w kąt, kładzie się.

 – Kir, czy ja jestem bardzo wredna?

 – Nie. Tylko czasami zachowujesz się jak wariatka. A tak w ogóle, to jesteś sympatyczna. Wtedy, kiedy się nie złościsz. A kiedy się złościsz, to jesteś wykapana Baba Jaga. – Uwagę o Babie Jadze dodałem w celach wychowawczych.

 – Dziękuję ci, Kir. Kir, a… Dobrze, nie mówmy o tym.

 – Co twoja tarcza robi?

 – Nie teraz, Kir. Opowiem ci o tym później. Gdy się stąd wydostaniemy. Obiecuję.

 Postanawiam sobie twardo, że porozmawiam z nią poważnie. Rano.

 – Kir, rano porozmawiamy poważnie, dobrze? – proponuje.

 Znowu przegina się przeze mnie, przesuwa tarczę na dawne miejsce, całuje mnie w ucho i kładzie się – na wszelki wypadek jak najdalej ode mnie. Ale gdy tylko zapada w sen, przysuwa się z powrotem i znów dyszy mi w pachę. A ja jeszcze długo leżę i rozmyślam. O tym, że znów uprzedziła mnie z repliką, o tym, co jej jutro powiem. Że jesteśmy tu we dwoje już dwie doby, a nic nie zdążyliśmy. Gdyby inni tak nie wykorzystywali okazji, po prostu nie miałby kto stworzyć cywilizacji. A także o tym, iż cały system zaliczeń jest skonstruowany po prostu idiotycznie. No dobrze, przy prawdziwej awarii mogę zabić łosia na mięso. Ale poza tym – po co zabijać te wspaniałe zwierzęta? Do diabła, a jaką mieliśmy awarię, jak nie prawdziwą? Shayla całkiem mi zamąciła w głowie. W końcu zasnąłem i przyśnił mi się Tolan.

 – Witaj, Wielki Wahaczu! Znowu się wahasz? Opowiedzieć ci anegdotę o kogucie? Biegnie kogut za kurą i myśli: „Może jej nie dogonię, ale się rozgrzeję”. Nie zrozumiałeś? Trzeba ją kleić, ot co. O Boże, gdybym ja był na twoim miejscu! Cała planeta dla dwojga!

 – Tolan, ją spotkało jakieś nieszczęście. Trzeba je pomóc, a ja, jak zawsze, nie wiem, jak.

 – Ty nigdy nie wiesz. Łajdakowi trzeba dać w mordę, a ty dwa dni zastanawiałbyś się, czy to dobrze, czy źle. A w naprawianiu flyera jesteś mistrzem. Kir, a po coś poszedł w desant?

 – Dla Lindy.

 Budzę się od silnego ciosu łokciem w żebro. Shayla obraca się na drugi bok, plecami do mnie. Nawet we śnie sapie z oburzeniem. Jest trochę podobna do Lindy.

 Po wczorajszym dniu bolą mnie wszystkie mięśnie. Następnego łosia złapię, przyprowadzę na sznurku i dopiero tutaj zabiję. Albo wsiądę na niego i go ujeżdżę. Objeżdżę. Zajeżdżę na śmierć. Żebym ja na nim, a nie on na mnie, jak wczoraj. Ale najpierw załatwię się z Shaylą.

 – Shaylo, jesteśmy drużyną czy nie?

 No, po prostu cacy dziewczynka. Skromnisia. Dłonie na kolanach, patrzy w ziemię.

 – Kir, proszę cię, zdejmij czasowo tarczę.

 – Zrozum – mówię, zdejmując medalion. – Nie nalegam na ro, żebyśmy koniecznie byli drużyną. Ale musimy to jakoś ustalić. Do końca. Albo – albo.

 – Jesteśmy drużyną we wszystkim, co nie dotyczy mojej przeszłości… i przyszłości.

 – Tak się nie zdarza.

 – Ależ zrozum, idioto! – Wybucha. I zaraz milknie, zmieszana. – Przepraszam, Kir. Jesteś dobry. Ale nie chcę, żebyś utonął w moim gównie. Po co przeze mnie masz psuć sobie życie?

 – Popełniłaś jakieś przestępstwo czy co?

 – Tak! Urodziłam się! To moja zbrodnia. I zarazem kara. Wybacz, znów mi się wypsnęło.

 – Znowu mówisz zagadkami.

 – Kir, wiem, że chcesz mi pomóc. Ale nic z tego nie wyjdzie. Nie starczy ci prochu. Przeciw smokom jesteś zerem. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie siły są w to zamieszane. Weźmy choćby szalandę – nie mieści ci się w głowie, że rozbiły ją dla mnie. A co im tam szalanda! One dla eksperymentu ze mną zdublowały dwie planety! A tobie szkoda szalandy…

 – Shaylo, ty albo jesteś wariatką, albo... Możesz tego dowieść?

 – Pasuje! – Aż się ucieszyła. – Jestem wariatką. Akurat mam czasowe rozjaśnienie umysłu. Będę się dobrze zachowywała, dopóki nas stąd nie zabiorą. Kir… O Boże, tylko się nie rozpłacz, Kir, przecież jesteś mężczyzną! Wybacz mi, słyszysz? Przecież ja się troszczę o ciebie. Uwierzysz, jeśli ci powiem, że jesteś najlepszy ze wszystkich, których spotkałam w życiu. Mogę przysiąc na co tylko zechcesz. Nawet seks bym ci sprawiła, ale nie mamy środków antykoncepcyjnych. A ja nie chcę… no, po prostu nie mogę zajść w ciążę. Opowiedziałabym ci wszystko, ale od tego będzieci tylko gorzej. Ty nie znasz Mroka.

 – Dlaczego zadecydowałaś, że możesz rozstrzygać, co dla mnie będzie lepsze, a co gorsze? Dlaczego decydujesz za mnie?

 To pytanie ją dobiło. Całkowicie. Zmarszczyła twarz, skrzywiła się i… rozpłakała się. Zacząłem ją pocieszać i… dostałem łokciem pod żebro. Po krótkiej szamotaninie zdołałem ją jednak posadzić sobie na kolanach. I wtedy rozpłakała się na potęgę. Na cały głos. Co ja jej takiego powiedziałem?

 Chyba jednak się pogodziliśmy. Idziemy po drugą skórkę łosia. Shayla zrobiła się bardzo posłuszna, nawet zgodziła się pójść ze mną przez góry do miejsca, gdzie miałem wylądować, choć cały czas uważa to za zbędne. Ale dla mnie… Teraz idzie pierwsza i przysłuchuje się w napięciu. Ja niosę żerdzie i lubuję się jej plecami. Diana-łowczyni. Z tyłu ładniejsza niż z przodu. Mówię jej to.

 – Tss… Bo wystraszysz.

 Nic nie słyszę. Ale ona słyszy. Myślałem, że myśliwi szukają zdobyczy po śladach, ale ona chyba ani razu nie spojrzała na ziemię. Ja tak nigdy nie będę umiał.

 – Widzisz, to ścieżka do wodopoju. – Pokazuje mi.

 – A gdzie łosie?

 – Będą i łosie.

 Przygotowujemy samostrzał – dwumetrowy łuk z sekondyjskiego bambusu na ramie z żerdzi ze strzałą niewiele mniejszą od mojej piki. Shayla mówi, że nie trzeba go maskować, gdyż tutejsze zwierzęta nie są płochliwe: nie czuły zapachu człowieka od siedmiu lat. Przywiązujemy linkę do zawleczki spuszczającej strzałę i odchodzimy na dwadzieścia metrów. Nawet się nie chowamy.

 Pierwsza do wodopoju idzie rodzina dzików. Śmiesznie wygląda: ojciec z matką jednokolorowe, a prosięta w paski. Oj ta mama… Interesuje się samostrzałem, obwąchuje go, jakby próbuje ugryźć. Knur zobaczył nas, podszedł blisko i spojrzał na nas groźnie. Odpowiedziałem mu równie groźnym spojrzeniem. Nie patrz na nas, tylko na żonę, głuptasie.

 – Jeśli pójdzie na nas, włazimy na drzewo – instruuje mnie Shayla. – A jeśli potem zacznie podkopywać korzenie, wsadź mu pikę w oko.

 Obeszło się. Samura potruchtała dalej, prosiaki za nią, a knur ustawił się na końcu.

 Łosie zjawiły się dopiero pod wieczór.

 – Daj mi… Daj, proszę! – szepcze gorąco Shayla.

 Przyglądam się jej: oczy płoną, twarz zawzięta, nie ponura – zupełnie inny człowiek. Podaję jej koniec linki. Przywódca stada staje przed samostrzałem i obwąchuje ostrze strzały. Pozostałe przechodzą zasłonięte nim. Shayla zgrzyta zębami ze złości, wygląda, jakby miała zaraz gryźć ziemię. Przywódca stada dostrzega ją i kiwa rogatą głową jakby z wyrzutem.

 – S-swołocz – syczy Shayla. I klnie cały rodowód przywódcy. Ależ ona ma słownictwo!

 – Nie masz racji, panienko. Tego to on na pewno nie robił. – Bronię zwierzę.

 Shayla chwilę patrzy na mnie nie rozumiejąc, po czym ze śmiechu aż wije się po trawie.

 – A ty skąd to wiesz? – pyta i nagle poważnieje. – Kir, my tu na próżno siedzimy.

 – Czemu?

 – Bo one wrócą inną drogą.

 – Dlaczego?

 – Bo tak!

 Dziwny argument. Ale dziki nie wróciły. Więc Shayla może ma rację.

 Nie, nie ma racji. Wracają! Shayla przepuszcza trzy pierwsze i ciągnie za sznurek. Trafiła! Prosto w serce! Ależ ona ma oko!

 Od jej dzikiego okrzyku zwycięstwa łosie rozbiegają się na wszystkie strony. A ja zastanawiam się, co dalej? Do szałasu pięć kilometrów, do zachodu słońca dwie godziny. Trzech kwintali nie doniesiemy we dwoje.

 Pracujemy całą noc przy świetle ogniska i miejscowego księżyca, nieco mniejszego, niż ziemski, ale jaśniejszego. Shayla wyrabia skórę. Pochyliła się nad nią i trze, trze, trze… A ja znowu wędzę mięso. Ze stu kilogramów świeżego robi mi się trzydzieści albo i mniej wędzonego. Dobre i to, ale bez soli…

 Wracamy do szałasu. Dwa zmęczone wielbłądy. Spotyka nas pięć wilków – a może hien? Przerwaliśmy im naradę, jak dobrać się do mięsa poprzedniego łosia. A miały z tym poważny problem. Przed zakopaniem owinąłem mięso gałązkami sekondyjskiej paproci. Nie wiecie, co to takiego? A widzieliście drut kolczasty? Wyobraźcie sobie, że na nim rosną liście, wąskie, jak u turzycy, ale niebieskie. Kolce po trzy centymetry, jak u berberysu, tylko grubsze i mocniejsze. A teraz wyobraźcie sobie, że kopiecie w piasku gołymi łapami – i natrafiacie na sekondyjską paproć. Krótko mówiąc, hieno-wilki były na nas bardzo obrażone. Pachnie! Pachnie pysznym mięskiem! Ale nie można się do niego dostać.

 Shayla rzuciła swój węzeł na ziemię, ujęła łuk i nałożyła strzałę na cięciwę. Kto powiedział, że miejscowe zwierzątka od siedmiu lat nie widziały człowieka? Może i nie widziały, ale wiedzą, co to jest dziki turysta. Zły, głodny, dziki turysta – to straszne!

 Shayla rozciąga na trawie skóry, pręcikiem zdejmuje ze mnie miarę i zaczyna robić wykroje. Kiepsko jej to wychodzi. Skóra jest nieco za mała. Mówię, że, jeśli łoś w nią wlazł, to i ja wejdę. Shayla odpowiada, że przemądrzałych należy zabijać w dzieciństwie procą. Kładzie mnie na skórę, zawija, wtyka w nią kolce jak agrafki, kreśli coś węgielkiem. Każe mi wyjść ze skóry i przykraja ją nożem. Aż się boję, żebyśmy nie musieli zabijać jeszcze jednego łosia.

 Shayla chce, żebym zszył sobie skórę sam. Odpowiadam:

 – Szycie to babska robota. Męska to bieganie z bronią, zdobywanie prowiantu…

 – Wykroiłam ci wszystko, wymodelowałam. Wymień choć jedną znaną kobietę-modniarza.

 Nie wymienię nawet mężczyzny… Nie, jednego wymienię. Somow. Skafander Somowa. Bajka! Kto nie chodził w „somce”, nie uwierzy. Pozwalam sobie na chwilę dumy z męskiej połowę ludzkości, po czym z ciężkim sercem biorę się do szycia. Przed Shaylą trzeba się mieć na baczności.

 Szyjemy żyłką, krótkimi ściegami. Shayla twierdzi, że skóry nie wytrzymają więcej niż miesiąc – nie ta produkcja – więc nie ma po co się wygłupiać. Kończę kurtkę pierwszy i ubieram. Shayla biega dookoła, obciąga, gdzieniegdzie luzuje, niektóre szwy rozpuszcza i każe mi jeszcze raz przeszyć. Dobra mi wyszła kurtka, z kapturem. Z rękawiczkami mam problem, ale zszywam je ze ścinków. Shayla odkłada igłę i wykrawuje mi spodnie, znowu biorę się do szycia. Dobrze, że chociaż z obuwiem nie ma problemu, gdyż w torbach znalazły się turystyczne buty z wełnianymi skarpetkami. W ogóle zawartość toreb podejrzanie przypomina nie standardowy komplet przenośnego zapasu awaryjnego, tylko komplet rzeczy, które pozwolono mi wziąć. Nie ma w nim na przykład żadnej broni, jeśli nie liczyć noży.

 W nocy wracają hieno-wilki i oceniają nasze niedobre zachowanie. Obyta w tajdze Shayla przewidziała to i obłożyła szałas sekondyjskimi kłujkami, ale i tak mi jest strasznie. A Shayli nie. Bierze łuk, wysuwa się na chwilę i wypuszcza strzałę. Ciemno choć oko wykoi, ale ona trafia! Skowyt, wycie, jakby dziesięciu kotom równocześnie stanięto na ogony. Potem chrupot kości i mlaskanie. No, teraz są syte. Może sobie pójdą...

 – Jak ty go… w ciemności…

 – Głupiś. – Śmieje się Shayla. – Oczy im się świecą.

 – A kiedy nauczyłaś się tak strzelać?

 – Gdybyś wiedział, ile razy uciekałam w tajgę i żyłam tam przez miesiąc.

 – A potem?

 – A potem liczę puszki z konserwami. Dziewięć. Zjem dwie, następnego dnia liczę – znowu dziewięć. Kończy mi się sól, idę na polowanie, wracam – pełne opakowanie. Cholerne smoki podkarmiały mnie, rozumiesz?! Oczu ze mnie nie spuszczały. Wyłam jak wilk. I teraz też nie jestem stuprocentowo pewna, że to ja go wykończyłam. Smoki mogły mi pomóc.

 – Znowu czepiasz się smoków.

 – Wybacz, dostałam kolejnego ataku manii prześladowczej. – Roześmiała się Shayla. – Już mi przeszło. Śpij. – Przejechała mi wargami po policzku i ułożyła się wygodnie.

 A mnie mrówki przebiegły po plecach. Nie jestem psychiatrą, ale wariaci tak się nie zachowują. Nie powołują się na swoją manię, żeby uchylić się od rozmowy. A ona teraz odpowiada mi po raz enty: zapomnij, kolejny atak paranoi. I śmieje się całą gębą. Oczywiście, jeśli miesiącami żyła sama w tajdze… Rozumie się, że w towarzystwie weselej. Chętnie bym usiadł przy terminalu i zasięgnął o niej informacji. Ale co by mi odpowiedziało informatorium? Figę (jest taka ziemska roślina). Tajemnica osobista – to nawet jeż rozumie. Zielony sekondyjski jeż. A zielony kursant nie rozumie. Do diabła! Nie będę poganiał wydarzeń.

 – Dziś odpoczywamy, jutro wyruszamy – ogłosiła rano Shayla. Już zaczęła komenderować!

 – A czemuż to? Uzasadnij – odpowiedziałem jak mogłem najsurowiej.

 Posmutniała i rozejrzała się niepewnie. Widziałem na jej twarzy, jak obmyśla wykręt.

 – Jest taka hipoteza, że wieczorem będzie deszcz – zakomunikowała w końcu nie mnie, tylko najbliższemu krzakowi, przenikliwym głosem przez złożone w trąbkę dłonie. – A do wieczora możemy odpocząć i lepiej poznać się nawzajem. Jeśli deszczu nie będzie, to runie cały mój autorytet doświadczonej mieszkanki tajgi, wypracowany z wielkim trudem.

 Popatrzyłem na bezchmurne, błękitne niebo. Pośliniłem i podniosłem do góry palec, określając kierunek wiatru. Jestem mieszkańcem miasta i nie jestem meteorologiem, ale podstawy meteorologii braliśmy. Wiem, skąd wiał wiatr wczoraj, skąd wieje dzisiaj, pamiętam mapę planety i nie wierzę w cuda.

 – Może przesuniemy szałas?

 – Po co?

 – Bo kiedy twój autorytet runie na niego, to nas przyciśnie.

 – Ach ty! – złapała gałązkę i zaczęła mnie gonić.

 Spędziliśmy wspaniały dzień. A wieczorem rzeczywiście spadł deszcz.

 – No i masz to, czego chciałaś!

 – Kir, wybacz gówniarze!

 Ja żartuję, a ona – na poważnie. Głupio wyszło. Cały dzień wygłupialiśmy się, a nie pomyśleliśmy o obłożeniu dachu szałasu świeżymi gałązkami. Teraz siedzimy w ciemności i mokniemy. Dzwonimy zębami z zimna i wzdrygujemy się przy każdej błyskawicy. „Nieprzemakalności” szałasu wystarczyło na dziesięć minut. A nieprzemakalna błona okrywa zapasy paszy… to znaczy, prowiantu. Zawinęliśmy w nią mięso. Futrzane kurtki i spodnie są w torbach, gdyż Shayla powiedziała, że nie można ich moczyć. Po cośmy je w takim razie szyli?

 Jeśli burza potrwa całą nic, zwolnię się na własne życzenie. Nie, zwolnię intendenta! Kosmodesantowcowi potrzebny jest skafander! W skafandrze można spać nawet w kałuży. W kałuży jest nawet wygodniej, bardziej miękko.

 – Shaylo, ty coś mówiłaś o tym, że to nie jest prawdziwa Kentucky?

 Shayla przywiera szczelniej do mnie. Okrywam ją, jak mogę, swoją kurtką, ale ona nie jest nieprzemakalna.

 – To długa historia. Smokom potrzebna była nadająca się do życia planeta, ale bez ludzi. No i Mrok ją im zorganizował.

 – W jaki sposób?

 – Słyszałeś o epidemii niebieskiej dżumy na Kentucky?

 Kto o niej nie słyszał? Pandemia. Z prawdziwą dżumą nie ma nic wspólnego, jest chorobą wirusową, a nie bakteryjną, poza tym śmiertelna jest tylko dla człowieka. Miejscowy wirus zmutował. Dla szympansów i innych zwierząt to jak katar, ale wirusa roznoszą. Nic dziwnego, że biosfernicy go przegapili. Zaledwie oddali planetę pod zasiedlenie, a już się zaczęło, co bardzo pogorszyło ich reputację. Dobrze, że zdążyło się osiedlić niecałe dwa tysiące osób, bo w przeciwnym razie zrobiłby się z tego ogromny skandal. Zachorowało 80% ludzi, co piąty z nich zmarł. Potem smoki ogłosiły, że chcą oczyścić od wirusów całą planetę. Na dobę usunęły z planety wszystkich ludzi i coś na niej zrobiły. Co konkretnie, to mnie już nie zainteresowało, gdyż ich doświadczenie skończyło się wielką klapą. Zlikwidowano zaledwie 75% wirusów, co przy tempie ich rozmnażania nie wyrządziło im wielkiej krzywdy.

 – Epidemię też zorganizowały smoki?

 – Nie popadaj z jednej skrajności w drugą. Epidemia wybuchła sama. Mrok dowiedział się o niej po tygodniu, rozwinął intensywną działalność i w ciągu trzech dni zdławił ją. Miejscowi gotowi byli się do niego modlić.. On nigdy nie wypuszcza z łap swojej szansy.

 – No więc…

 – No więc zostaje druga połowa historii. Doświadczenie z globalnym oczyszczeniem planety było bujdą od początku do końca. Dla każdego powinno być jasne, że wszystkich wirusów nie da się zniszczyć. Ale Mrokowi potrzebna była planeta przynajmniej na godzinę oczyszczona z ludzi. Pomyśl, jak dokładnie wszystko obliczył. Spróbuj tak po prostu wyrzucić wszystkich z planety. Na pewno znajdą się uparci idioci, którzy zostaną po prostu na złość. Ale on jest ratownikiem! Stara się nie dla siebie, tylko dla innych! Wszyscy go poważają, wszyscy boją się dżumy. Sami rozszarpaliby każdego, kto odmówiłby opuszczenia planety.

 – Po co?

 – Żeby zdublować planetę. Nie mógł przecież zdublować jej z ludźmi! To byłby dopiero szum! A tak ma przytulną planetę z zadbaną biosferą. I ani jednego człowieka. Tylko ja i ty.

 Jeśli założyć, że to prawda… O dublowaniu planet słyszałem. Niedługo przed moim urodzeniem się były trzy udane eksperymenty. Ale w rezultacie jednego z nich o mało co nie wybuchła gwiazda. O ile wiem, później już takich eksperymentów nie przeprowadzano.

 – Czekaj… Epidemia na Kentucky była chyba pięć lat temu…

 – Siedem. Ale Mrok jest smokiem. Wszystko uwzględnił i miał tą planetę w zapasie.

 – I nikt jej nie znalazł?

 – Nie można jej znaleźć. To jest inne continuum.

 – A jego mieszkańcy?

 – Na Ziemi tu jeszcze polują na niedźwiedzie jaskiniowe.

 – Dla ciebie stworzył całą planetę? – Nie chce mi się wierzyć. Shayla odpowiada smutno:

 – Kir… To już druga. Pierwsza to dublet Ziemi pięć milionów lat przed pojawieniem się człowieka. Tam dorastałam.

 – Jak Mowgli?

 – Dlaczego jak Mowgli? Normalna wioska, około stu mieszkańców.

 – W takiej dziczy?

 – Mieliśmy cyberów jak mrówek. Likwidowały drapieżniki w pobliżu wioski.

 – Ludzie nie wiedzieli, gdzie mieszkają?

 – Dlaczego? Wielu wiedziało. Na przykład moi, że tak powiem, rodzice.

 – Trzymano ich tam jak jeńców?

 – Spadłeś z dębu czy co? MIESZKALI ram. Po prostu mieszkali. Z dala od zgiełku miast.

 – No to nie rozumiem.

 – Zero-t! Wchodzisz do kabinki w jednym świecie, wychodzisz w innym. Spojrzysz w nocne niebo – nie ma ani jednego znajomego gwiazdozbioru, zrozumiałeś? Włączyłeś komputer – nowości z jakiejś gęsto zamieszkałej planety. Może ona jest tuż obok, a może na drugim końcu zamieszkałego kosmosu. Polityka, sport, filmy – co kto chce. Chcesz porozmawiać z kolegą albo zobaczyć w teatrze żywych aktorów – idź do kabinki, wybierz numer. Tylko nie zapomnij swojego domowego, bo nie trafisz do domu, gdyż tego adresu nie ma w żadnym informatorze. Słyszałeś o planetach pustelników?

 – Tak.

 – Wszyscy niewtajemniczeni sądzili, że mieszkają na planecie smoków-pustelników. Oto i cała tajemnica. Znasz zasadę zachowania się na planecie pustelników?

 – Nie znam. A co, jest tylko jedna?

 – Nie przeszkadzaj żyć innym. Więcej nie trzeba. Jak ci się nie spodoba – idź gdzie cię oczy poniosą. Planet jest dużo. Zwrócą ci nawet koszty przeprowadzki. Smoki nie zajmują się takimi drobiazgami. Z większymi problemami zwracaj się do rady kolonii. U nas była to rodzina Mroka, gdyż on pierwszy się tam osiedlił. Drobniejsze sprawy rozstrzygała moja mamuśka. No i wszyscy byli zadowoleni. Pisarze, malarze, różne fajtłapy.

 – Shaylo, ty chyba masz manię wielkości.

 Myślałem, że się obrazi, ale roześmiała się ponuro.

 – Mania wielkości u królika doświadczalnego? Czemu nie? Największy z wielkich królików… nie, króli doświadczalnych. Oto kim jestem.

 – A jakież to eksperymentyoni przeprowadzają nad tobą?

 – Teraz? Sparzają mnie. Chcą, żebyś mnie pokrył w celu uzyskania potomstwa i umocnienia w nim moich cennych wartości gatunkowych. Elfie uszy i szczególna puszystość skórki.

 – A poważnie?

 – Poważnie to zapomnij o skórce. Uszy zostają.

 Chciałem zakląć, ale Shayla nagle się rozpłakała. Czułem pod dłonią jej drżące łopatki i moja złość tajała jak kawałek lodu wrzucony do wrzątku.

 Deszcz padał może do północy, ale zasnęliśmy jeszcze później. Rano przyjrzałem się jej uszom: rzeczywiście były nieco spiczaste u góry. Zjedliśmy trochę mięsa i wyruszyliśmy.

 Jeden wielbłąd idzie,

 Drugi wielbłąd idzie,

 Idzie cała karawana.

 Jeden już się zmęczył,

 Drugi też się zmęczył,

 Zmęczyła się karawana.

 Może niezbyt pokrzepiające i z głosem u mnie kiepsko, za to aktualne! W dół było łatwiej i mieliśmy wtedy mniej ładunku. Shayla to dziwna dziewczynka. Klnie strasznie i bywa nie do wytrzymania, ale tylko w spokojnych warunkach. A w krytycznej sytuacji można na niej polegać. Zaciśnie zęby i milczy. Na ile nam wystarczy wody – dwa litry na dwie osoby?... Nie, przecież tam jest strumień! Oglądam się.

 – Zmęczyłaś się? Może zrobimy postój?

 – Przy strumieniu.

 Żelazna dziewczyna. Wierzę jej czy nie? A czemu jej muszę wierzyć? Przecież nic właściwie nie mówi. Zbyt wiele wokół niej zagadek. Instruktor uczył mnie: wierz intuicji! Jedna zagadka – zwykła rzecz, dwie zdarzają się, trzy – to już rzadkość. A wokół niej – dziesięć. Intuicja mówi, że trzeba wierzyć. Wierzę. Wie-e-erzę. Ale w co – oto jest pytanie! Wierzę, że jej jest źle. Ale że smoki są złe – nie wierzę. Złe smoki bywają tylko w bajkach. Że smoki robią na ludziach doświadczenia – też nie wierzę. Ale w takim razie – dlaczego jej źle?

 Strumień! Doszliśmy! Postój!

 Jeden wielbłąd leży,

 Drugi wielbłąd leży,

 Leży cała karawana.

 – Kompozytor z ciebie… K… twoja mać!

 Cud-dziewczynka! Jak by tu oduczyć ją kląć?

 Przygotowujemy się do noclegu. Goła skała. Miejsce nie najlepsze, ale jedną noc można pocierpieć. Shayla wkłada na siebie całe obranie, nawet suknię z pokrowca, na wierzch kurtkę i spodnie ze skóry łosia, narzuca na głowę kaptur i staje się podobna do niedźwiadka.

 – Będę cię nazywał Niedźwiadkiem.

 Szczerzy zęby w uśmiechu, usuwa kamyki nogami i kładzie się na gołej ziemi. Wychodzi jej to tak naturalnie… Jak wilkowi w zoo. Okręci się w miejscu – i leży. Ja jeszcze ani razu tak nie nocowałem: pod otwartym niebem, na gołej ziemi. Patrzę na niebo z obawą. Przez cały dzień było bezchmurne, a teraz stopniowo pokrywa się chmurami.

 – Chyba znowu zbiera się na deszcz. – zauważam.

 – Jeśli w nocy będzie padało, to ja się przeziębię i umrę w strasznych męka-ach! – wrzeszczy Shayla na całe gardło.

 – Czego ty?

 – Przecież ty nie chcesz moknąć pod deszczem.

 – Oczywiście że nie, ale po co krzyczysz?

 – Głośne harmoniczne wahania wywołują subtelne procesy fizyczne – odpowiada Shayla ze śmiechem. – Kładź się jak najbliżej mnie. Możesz nawet mnie objąć. Będzie mi cieplej.

 Tak robię. Bo jeszcze naprawdę się przeziębi. Pod głowę kładę torbę z wędzonym mięsem.

 Straszna noc. Zimno, twardo. Całe niebo pokryte chmurami, ale deszczu nie ma. Po wschodzie słońca chmury stopniowo się rozchodzą. Na śniadanie jemy mięso i popijamy zimną wodą z butelki. Jednak nie jest aż taka zimna, jak w strumieniu. A Shayla ma to w nosie. Nieźle się wyspała, uśmiecha się całą gębą. Typowa mieszkanka tajgi. Dobrze byłoby dzisiaj przejść przełęcz. A idealnie – gdybyśmy doszli do lasu. Ale to już całkowita fantazja. Gdyby chociaż zejść do miejsca, gdzie zaczyna się trawka…

 Napełniamy butelki wodą ze strumienia i idziemy.

 Dwa kilometry dalej znajduję dziwny półprzeźroczysty kamień.

 – Shaylo, zobacz, kwarc. Zrobimy z niego groty do strzał i oszczepu.

 Shayla w zamyśleniu odwraca kamień, uderza po go innym.

 – To sól kamienna. – I nagle ni z tego, ni z owego wybucha: – Gady!!! – i ciska moim kamieniem w skałę. Kawałki lecą na wszystkie strony – i po kamieniu. To naprawdę sól. Była…

 – Co ty robisz!? – pytam zdumiony. – Sól bardzo by nam się przydała.

 – Oni nas prowadzą! Nie rozumiesz?! Prowadzą! Nienawidzę!!!

 Kilometr dalej:

 – Kir, wybacz. Pośpieszyłam się.

 Oglądam się. Z taką samą ponurą gębą wyszła z biowanny. Zresztą zła też jest piękna. Tylko trzeba to zrozumieć. Gdybym był malarzem, namalowałbym jej obraz: „Idąca naprzód”. Albo zagadkowo: „Dojdzie?”. (Do strumienia). Dwa kilometry wymyślam tytuł obrazu. Żeby było jasne, że musi gdzieś dojść. Iść ciężko: góry, kamienie, brak ścieżki. Jest sama, strasznie jej. Ale idzie. Potem zastanawiam się, skąd kawał soli wziął się ot tak, po prostu po drodze. Nie mógł tam być wcześniej, gdyż poprzedniej nocy był deszcz i rozpuściłby go. Czyli go tam podłożono – wczoraj, żebyśmy go znaleźli. Wczoraj – gdyż był deszcz, a pod bryłą nie było żadnych świeżych zacieków. Może jednak spadła skądś z góry? Też nie, bo gdy Shayla ją cisnęła o skałę, rozleciała się na kawałki. Czyli ktoś ją tu położył. Łagodnie i dokładnie. O czym to świadczy? O tym, że nas obserwują. Ratownicy nas znaleźli, ale nie chcą mi przerywać zaliczenia ze szkoły przeżycia. Oglądam się, dumny z siły swojego intelektu.

 – Czego wytrzeszczasz gały?

 No i co ja mam z taką zrobić? Nie daj Bóg, by komuś została teściową! Niedźwiadek grizzly. Nie, dziecko drapieżnego niedźwiedzia jaskiniowego, wyrosłe w ciemnej iwilgotnej pieczarze, które matka ani razu nie polizała, tylko biła, szturchała i klęła najgorszymi słowami.

 Próbuję spojrzeć na świat z jej punktu widzenia. To ułatwia wzajemne zrozumienie. Ratują nie mnie, tylko ją. Nie, nawet nie ratują. Z jej punktu widzenia szalandę grzmotnęli specjalnie, a teraz tylko obserwują i podrzucają potrzebne produkty, żebyśmy nie dostali awitaminozy. I nocny deszcz wywołali na jej prośbę. A następnej nocy powstrzymali deszcz też na jej prośbę. Ile na to idzie energii – aż strach pomyśleć! Ale ona mówiła, że dla smoków energia jest niczym. One dla niej zdublowały dwie planety.

 Nie, to kompletne brednie. Bywała mieszkanka tajgi musi czuć deszcz na dobę wcześniej. Są jakieś wskazówki. „Jeśli słońce wieczorem jest czerwone, marynarz nie ma się czego bać”. Ja po prostu ich nie znam, a ona wykorzystuje. No bo skąd miałbym je znać? Jestem miastowy. U nas pogoda jest według rozkładu planowanego z miesięcznym wyprzedzeniem. Stop, to nie ma nic do rzeczy. A co ma? To, co opowiadała Shayla. W dzieciństwie też ją podkarmiali. Uciekała w tajgę, i tam ją niepostrzeżenie zaopatrywali w produkty, na przykład w sól.

 I co z tego? Nie tak trzeba myśleć. To są jej opowiadania, nie fakty. A gdzie fakty? Co pozostaje, jeśli odrzucić jej słowa? Medalion i kawałek soli. Od tego nigdzie nie uciekniesz. Ale co ja mam z tymi dwoma faktami zrobić? Co robią z faktami mądrzy ludzie? Ma pan jakiś plan, mister Fox? Pytanie wsteczne: a gdzie pan tu widział mądrych ludzi, mister Fox? W lustrze? Niech pan nie żartuje. Zresztą lustra tu nie ma. Niech pan się obejrzy, mister Fox.

 Oglądam się. N-tak… Zdaje się, że mówiliśmy o ludziach, mister Fox. A kim jest ta sroga istota podobna do niedźwiedzia? Jeśli jest z innej planety, to znaczy, że kosmita. Jeśli ma taką wściekłą fizjonomię, to znaczy, że drapieżnik. Jeśli ma broń, to znaczy, że jest niebezpieczna. Bardzo niebezpieczny drapieżny kosmita.Głupieję. Oto co z człowieka robią kawałki soli!

 Zimno. Za przykładem Niedźwiadka Shayli narzucam na głowę kaptur, a na ręce wkładam rękawiczki. Teraz wyglądamy jak dwa niedźwiadki.

 Dureń z pana, mister Fox. Triumf rozumu nad intelektem! Proszę się odprężyć, przestać myśleć tylko o własnych przeżyciach! Tu trzeba ratować człowieka, a pan nawet nie wie, przed czym go ratować! Słusznie mówią: głowa nie jest najlepszą częścią kosmodesantowca. Ale za to najmocniejszą! Dość! Twardo postanowione: schodzimy z przełęczy i szczerze rozmawiamy o wszystkim. Bez żadnych wykrętów.

 Wychodzimy z cienia na słońce i odrzucam kaptur, a potem rozpinam kurtkę. Do przełęczy dwa kroki. Nie więcej niż cztery kilometry i nie bardziej stromo niż 45 stopni. Lewa, prawa, lewa, prawa. Ten szczyt po lewej ma chyba ponad osiem kilometrów. Everest. A ten po prawej siedem. Aconcagua. A między nimi – drobiazg, żałosne cztery i pół. W komorze barycznej podnoszono nas na osiem i pół kilometra. Tolan stracił przytomność. Omal nie wyleciał z desantowców z powodów zdrowotnych. Potem wakacje spędził ze mną w obozie wysokogórskim. Spotykaliśmy alpinistów, obsługiwaliśmy, zapisywaliśmy wszystko w dzienniku. On trenował układ oddechowy, a ja – do towarzystwa. Lewa, prawa, lewa, prawa, lewa, prawa…

 – Shaylo, może zrobimy mały postój?

 Puściła taki stek przekleństw, aż musiałem zatkać sobie uszy. Nie, tego już za wiele!

 Biorę Niedźwiadka za ramiona, odwracam twarzą do siebie i pytam:

 – Dać ci w piętak?

 – Co? – odpowiada półprzytomnie, jakbym ją obudził.

 – No bo tak strasznie klniesz.

 – To ja głośno? Kir, kochaniutki, wybacz mi, proszę. Jeśli chcesz, pocałuję cię w szczecinkę. – I śmieje się jak nienormalna.

 – Lunatyczka.

 Lewa, prawa. Lewa, prawa. Do występu – lewa, prawa. A teraz do kamienia – lewa, prawa. Jeden wielbłąd idzie. Drugi wielbłąd idzie. Prymus przygotowania fizycznego też idzie. Do skały dojdzie. Za skałę zajdzie. I tam upadnie. Nie, taki rym ludowi nie jest potrzebny. Za taki rym trzeba dać w piętak. Cztery kilometry to 8000 kroków. 7999, 7998, 7997, 799eee… Straciłem rachubę. A kiedy pójdziemy w dół, to będzie tylko 6000 kroków. Można byłoby i 4000, ale wtedy Niedźwiadkowi puszczą szwy w spodniach. Prawa, lewa. Mądry na szczyt nie wchodzi, mądry górę obchodzi. A dlaczego kurczak przechodzi po asfalcie przez jezdnię, mister Fox? Bo obchodzić byłoby zbyt długo! O, stromizna się zmniejszyła! Proszę mi powiedzieć, mister Fox, na jakiej wysokości nad poziomem morza jesteśmy? Cztery kilometry będzie? A słyszał pan, mister Fox, że mądrzy ludzie puszczają przed sobą osła, który znajduje im optymalną trajektorię? A kogo myśmy puścili, co, mister Fox? Ależ pan samokrytyczny, mister Fox, proszę się nie obrażać.

 Jakoś tak niezauważalnie wychodzimy na przełęcz. Skały z prawej, skały z lewej, skały przed nami. Co za nami – nie wiem, nie oglądałem się. I nagle horyzont rozpościera się na wszystkie strony świata. Przełęcz!

 – Przełęcz, Niedźwiadku! Przełęcz!

 – No i z czego się tu cieszyć?

 N-tak… Rzeczywiście. Jeśli z tej strony góry nabierały wysokości stopniowo, to z tamtej – urywały się jak obcięte nożem. A my tutaj musimy zejść.

 – Przydałby się tutaj deltaplan.

 – A latałeś na deltaplanie?

 – Kosmodesantowiec musi umieć latać na wszystkim, co lata, jeździć na wszystkim, co jeździ i chodzić tam, gdzie nie stąpała noga zwykłego piechura. A ty na czymś latałaś?

 – Parę razy. Na smoku.

 – Opowiedz!

 – O czym tu opowiadać? Kra mnie uniosła, a on przeniósł na brzeg. Potem przez godzinę chodziłam jakbym miała głowę nabitą watą. Dosłownie.

 – Spuszczamy się na ten gzyms i idziemy po nim.

 – A jeśli on się kończy tam, gdzie stąd nie widać?

 – Wracamy tutaj, włazisz mi na ramiona, wyłazisz na placyk i wyciągasz mnie.

 Shayla ogląda sceptycznie gzyms.

 – Napisałeś testament?

 – Tak.

 Na chwilę aż zaniemówiła.

 – Masz szczęście. Bo ja nie.

 – Ty jesteś przecież zaklęta. Nic ci się nie może stać.

 – A nuż?

 Spuszczam Shaylę na gzyms, zrzucam jej torby i zeskakuję za nimi.

 Gdybyśmy mieli długi rzemień… Ale szkoda łosi.

 – Nie wkładaj torby na plecy – powstrzymuję Shaylę – Ściągnie cię w przepaść.

 – Masz rację.

 Idę pierwszy. Gzyms, zrazu szeroki, zwęża się do szerokości dłoni.Ale ściana nie jest tu aż tak stroma, więc można spokojnie iść. Można byłoby nawet usiąść i zjechać na tyłku w dół, lecz zbocze, zaokrąglając się płynnie, staje się bardziej strome i nie wiadomo, co tam niżej jest. Może pionowa ściana? Gdybyśmy mieli sznur albo rzemień…

 Mijamy zakręt. Gzyms znowu się rozszerza, ale ściana pod nim staje się pionowa.

 – Moja genialna przepowiednia się sprawdziła – komunikuję Shayli. – Tylko jeden niebezpieczny kawałek. A dalej – dochodzimy do osuwiska i schodzimy jak po schodach.

 – A jeśli nie dochodzimy do osuwiska, to lecimy jak ptaki – zauważa z niezadowoleniem. – To będzie chyba ze trzysta metrów.

 – Kiepskie masz oko. Najwyżej sto.

 – Wystarczyłoby i dziesięciu.

 – Nie, lepiej już więcej. Żebyśmy się nie męczyli.

 – Aleś mnie pocieszył, k… mać!

 – Przestań kląć!

 – Jeszcze czego! – burczy Shayla. – Może mi zostało pięć minut życia, a on komenderuje.

 – Wiesz, o czym pomyślałem? Lepiej będzie torby teraz zrzucić. Inaczej ściągną nas na dół.

 – A potem?

 – Znajdzi3emy je na dole. A co, może masz tam dużo szkła?

 – Podrze się. – Jednak silnym pchnięciem zrzuca torbę.

 Liczę sekundy. Sto metrów chyba będzie. Zrzucam swoją torbę. Uch ty! Moja torba wywołuje poniżej całą lawinę. Aż ściana drży.

 – Kamienie! – piszczy Shayla nie swoim głosem i wczepia się w ścianę.

 Robię to samo, wypuszczam pikę, osłaniam głowę rękami. Dość duży kamień uderza w gzyms między nami. Odpryski skały biją po nogach. Drobne kamyki bębnią po kapturze. Kamień wielkości dziecięcej piąstki w przelocie zahacza o kark Shayli i dziewczyna zaczyna osuwać się w dół jak topiący się woskowy pomnik.

 – Trzymaj się! – wrzeszczę i rzucam się ku niej.

 Zdążam zamknąć dłoń na jej łydce, ale sam też nie utrzymuję się na gzymsie, zawisam na czterech palcach. To nic, moje palce są silne. Żeby tylko uwolnić drugą rękę! Wykręcając się jak robak, próbuję zacisnąć Shaylę między nogami. Niech diabli porwą tą skórę łosia! Śliska!

 Przeklęty but wysuwa mi się z palców, wykręca rękę. Wytężając wszystkie siły, podciągam go do twarzy i zaciskam podeszwę zębami. Przemieszczam rękę wygodniej, patrzę w górę.

 Kamień wielkości trzylitrowego kanistra leci prosto na mnie! Nic nie mogę zrobić! Nic!

 Kamień uderza w gzyms. Miażdży moje palce i spadam. Z przerażeniem patrzę na nienaturalnie krótką dłoń z samotnie sterczącym kciukiem. W następnej sekundzie ogarnia mnie ciemność. I nieważkość. Nieważkość dobrze znam. Wstrzymuję oddech i czekam, czym się to skończy. Niezbyt silnie uderzam twarzą w chłodną metalową ściankę. Moją rękę przeszywa rwący ból.

 – A-a-a-a!!!

 – Wstawaj, Kir, ocknij się!

 Ktoś klepie mnie po policzkach. Otwieram jedno oko. Niedźwiadek Shayla. Pac! Pac! Pac!

 – Przecież to boli!

 – Żyje! – Śmieje się.

 Poruszam plecami, ramionami, kręcę tyłkiem. Wszystko na miejscu. Ręce, nogi, głowa – wszystko całe. Ręka!

 Oglądam palce. Zaciskam i otwieram pięść. Normalne palce pełne świeżych zadraśnięć. Na wszelki wypadek oglądam drugą rękę. Ta-ak…

 Gwałtownie siadam. Aha, czyli przelecieliśmy sto metrów i spadliśmy w zaspę. Której tu nie było. Ciemności i nieważkości też nie było. Zimnej metalowej ścianki nie było. I kamienia, który zmiażdżył mi palce, też nie było. Po prostu spadliśmy w zaspę z wysokości stu metrów – i nic sobie przy tym nie złamaliśmy ani nie stłukliśmy… Potem Shayla długo mnie odkopywała… W lecie – w zaspę!

 Wyłażę ze śniegu i brnę w dół po zboczu do miejsca, gdzie leżą torby. Przykucam i obserwuję, jak strumyk dosłownie na moich oczach toruje sobie drogę.

 – Shaylo, zobacz, strumyk.

 – I co z tego?

 – Ano, nic. Po prostu godzinę temu tej zaspy tu nie było.

 – Pewnie godzinę temu stamtąd – wskazuje w górę – zeszła lawina. Dobre, co? Wyobrażasz sobie, co by z nami było, gdybyśmy spadli na kamienie? – kłamie wesoło i z entuzjazmem.

 – Zdejmuj but.

 – Który?

 – Lewy – odpowiadam po dokładnym przypomnieniu sobie, jak staliśmy na gzymsie.

 – Po co?

 – Trzeba.

 Nie rozumie, ale zdejmuje. Na podeszwie odciski moich zębów. Czyli nie przyśniło mi się.

 – Zdejmij skarpetkę.

 Zdejmuje. Na stopie od góry i od dołu widać kilkudniowe ślady po ugryzieniu.

 – Uch, ty! A ja zastanawiałam się, od czego mnie tak boli noga.

 – Jak myślisz, ile dni mają te znaki? Jeśli powiesz mi, że mniej niż godzinę, nie uwierzę. Ubierz but. Ty zupełnie nie umiesz kłamać.

 Zasępiła się, w milczeniu ubiera skarpetkę, potem buta. Strzela we mnie oczami ze złością. Wymyśla nową legendę, ale ja już się nie nabiorę.

 – Gdzie załadowali ciebie na szalandę?

 – W domu, a gdzieżby indziej?

 – O właśnie! Smoki dostają się tam przez zero-t, a ciebie wsadzono na szalandę. Potem tą samą szalandę wysłano po mnie. Tą samą drogą, przez zero-t. Tylko tysiąc razy drożej. Nawet jeśli, jak twierdzisz, dla smoków pieniądze są niczym, po co te komplikacje? Po co, pytam?

 – Po…

 – Głośno myślę. Nie przerywaj. Na Lawendzie jest zero-t, na twojej ojczystej planecie jest zero-t, a ciebie ładują na szalandę. Głupota do potęgi. Ale dalej to już w ogóle zaczynają się cuda. Najpierw nas podkarmiają, potem ratują przed oczywistą śmiercią. Można powiedzieć, że wyciągają z tamtego świata. Nawet mi odtworzyli nowe palce w miejsce tych bohatersko straconych. Byłaś przypadkiem przy tym, jak nas stąd wyciągnięto w kosmos, a później zwrócono na miejsce? A prawda, dostałaś kamieniem w główkę, nic nie pamiętasz, nic nie wiesz.

 – Po kiego diabła włazisz w to gówno? Proszę cię jak człowiek człowieka: nie pchaj się. To jest sprawa nie na twój rozum. Tobie potrzebne jest tylko zaliczenie. Dostaniesz je.

 – Nie, moja miła. Zaliczenie było mi potrzebne wcześniej. Teraz już całkowicie uwierzyłem we wszystkie twoje brednie. Poza tym u nas w koszarach pokazywali wideo o wizycie na uczelni Wielkiego Smoka dziesięć lat temu. Opowiadał o Dziwakach. Czy mówi ci coś słowo „Dziwak”? Dziwacy to taka potężna cywilizacja, która z rzadka…

 – Kir!...Kir, proszę cię, zdejmij tarczę. Tylko na pięć minut.

 Ściągam medalion, ważę go w dłoni i kładę przed sobą na granicy śniegu.

 – Nie, Shaylo. Wpierw mi wszystko opowiesz. – Siadam ma kamień i wpatruję się w zaspę.

 – Siedź sobie. – Shayla ze złością zbiera rzeczy, wiesza torbę na plecach. – Długo masz zamiar tu siedzieć?

 – Dopóki zaspa się nie roztopi.

 – Chodźmy. – Shayla odchodzi na kilka kroków, wraca. – Zamierzasz tu nocować czy co?

 Cała moja pozycja wyraża dumną pogardę.

 Dalej – ciekawa scena. Shayla klnie, potem prosi, ciągnie za rękę, znów klnie, już ze łzami w oczach. Stopniowo do mnie dociera, że ona się boi! Boi się, że ja naprawdę zostanę tu, by obserwować, jak zaspa taje. Boi się śmiertelnie, że zobaczę to COŚ, co jest pod śniegiem. Nawet nie myśli o tym, że zaspa będzie tajała trzy dni… Ciekawe, co mogę tam zobaczyć?

 A jeszcze do mnie dociera, że zaraz będę musiał wstać i pójść za Shaylą. No bo jeśli człowiek aż tak się boi… Przecież nie jestem ostatnim łajdakiem. Ostatnia próba i wstaję.

 – Kir! No, Kir! Proszę cię! Bardzo cię proszę! Chodźmy stąd, proszę.

 – Idź sobie sama.

 – Ty nie rozumiesz. No, mój milutki, no proszę cię, chodźmy!

 – Jeśli nie rozumiem, to mi opowiedz.

 – Dobrze. Wszystko ci opowiem. Tylko chodźmy stąd. Chodźmy stąd jak najszybciej.

 – Dajesz słowo?

 – Daję słowo. Jesteś zadowolony?

 Wieszam torbę na pice, obejmuję Shaylę za ramiona i prowadzę. Przesiedziałem ją. Wygrałem. Kwadrans słucham cichnące chlipanie i pociąganie nosem. Może jednak ze mnie łajdak?

 – To niehonorowe – oświadcza pod koniec Shayla.

 – Jesteśmy drużyną?

 – Jesteśmy.

 – Drużyna jest wtedy, kiedy wszyscy są razem, a nie każdy z osobna. Opowiesz teraz, czy przy ognisku?

 – Nawet nie wiem, od czego zacząć.

 – Zacznij od początku.

 – Zdejmij na razie tarczę. Tak mi będzie łatwiej.

 I Shayla opowiedziała… To nie komputer Cierpliwych w sąsiedniej galaktyce. To nie planeta rozumnych dinozaurów. Przy smokach nie potrzeba żadnych Dziwaków.

 Teraz już Shayli wierzę. I wierzę, że tkwimy w gównie po czubki głów. Do diabła, tu potrzebny byłby superman. Ja nie jestem jakimś Korwinem z amberytów.

 – O właśnie! – komentuje Shayla. – W oczach smutek, w zębach deska, a drzwi na haczyk.

 – ?

 – To taka zagadka.

 – ??

 – Pijany chłop wpadł do ustępu.

 – ???

 – O Boże! Nigdy nie widziałeś wiejskiego ustępu! Jak można być zurbanizowanym aż do tego stopnia!

 „Nie widziałem wielu rzeczy” – myślę. – Ty nie widziałaś mikroulmotronu, a ja nie mówię, że przez to jestem mądrzejszy. Chciałbym umieć strzelać z łuku tak jak ty…”.

 Shayla zamyśla się, po czym jej złość topnieje w oczach.

 – Wioskowy ustęp to drewniana budka. W budce – ławka, w ławce – dziura, a pod ustępem – jama. Zgadnij, co w tej jamie?

 – A deska w zębach?

 – W czasie wpadania zaczepił się zębami. W rękach trzyma spodnie. Wyjaśnić, dlaczego smutek w oczach?

 – Ależ ty jesteś zjadliwa!

 W milczeniu idziemy około godziny. Supermana w naszej kompanii nie ma, jest tylko jeden niedouczony kosmodesantowiec. I on ma się z tego wyplątać. Chcę jeszcze raz potwierdzić dane i uściślić pewne szczegóły.

 – Więc smoki postanowiły wyhodować nową rasę ludzi.

 – Nie smoki. To Mrok postanowił.

 – A co, Mrok to nie smok?

 – Mrok to gad! Zabiję go! Zabiję go na śmierć! – Rzuca wściekle. Po pięciu minutach dodaje: – Smok, oczywiście że smok! Ale szczególny. Trzyma się na uboczu wraz z całą rodzinką. Ja ich nazywam mrokobiesami. To sam Mrok, jego dwie żony: Catherine i Lobasti oraz ich dzieci: Artiom i Szalla. Inne smoki o niczym nie wiedzą.

 – A z ludzi wie o tym…

 – Tak, wszystkiego z pięć, może sześć osób. Moi tak zwani rodzice i jeszcze ktoś. Ci, którzy polowali na gemy Wszechmogącego. Potem Mrok rozszczepił te geny, wydzielił potrzebne, a mamuśka zgodziła się mnie donieść. Ona nie może mieć własnych dzieci.

 – Mówiłaś przecież, że twoja matka jest maszyną.

 – Ona jest maszyną. Cyberem, a raczej cyborgiem. Wygląda zupełnie jak żywa. Je, nawet chodzi srać. Zrobił ją Wielki Smok.

 – A ojciec?

 – On nie jest moim ojcem. W najlepszym wypadku ojczymem. Prędzej już za ojca mogłabym uznać owego Wszechmogącego, ale on żył kilkaset lat temu… Tak, pomyślałeś prawidłowo. Ona z nim śpi. Przecież mówiłam, że wygląda jak żywa. Wszystko ma na swoim miejscu. Według dokumentów ma pięćdziesiąt lat, w rzeczywistości nie ma trzydziestki, ale na trzydzieści wygląda. ZAWSZE wyglądała i będzie wyglądała na trzydzieści. Aha, właśnie moich, że tak powiem, rodziców widziałeś, kiedy wchodziłeś na pokład szalandy.

 Mężczyźnie prawie nie poświęciłem uwagi. Zapamiętałem z niego tylko surową, spierzchniętą twarz, czarne, ostrzyżone na jeża włosy, kombinezon koloru khaki, szeroki skórzany pas, nóż w pochwie i wysokie buty. Ale kobieta już wtedy mnie poraziła. Wina i uraza na twarzy, a w oczach… nawet nie wiem, jak to wyrazić. Bardzo stara wina i bardzo dawna uraza. Uważne, badawcze spojrzenie. Kobieta krótko poinstruowała mnie co do biowanny i wyszła. Pomyślałem wtedy, że to ktoś z personelu jakiegoś szpitala dla nieuleczalnie chorych.

 Smoki zajęły się eugeniką. Uważają, że my, ludzie, osiągnęliśmy już pułap możliwości. Koniec, linia mety. I postanowiły wziąć ewolucję w swoje ręce… tfu, łapy.

 – Ależ one tak wcale nie uważają! – Shayla aż uderzyła siebie pięścią w kolano. – Ale socjalny aspekt ewolucji nie odpowiada… bo ja wiem… areałowi. Nie umiem mówić naukowo.

 – Więc mów prosto.

 – No, wyszliśmy w kosmos, zasiedliliśmy setki planet – a jak byliśmy dzikusami, tak nimi pozostaliśmy. Ewolucja biologiczna postępuje zbyt wolno. Mrok postanowił ją przyśpieszyć i zrobił mnie. Jestem prototypem. Modelem eksperymentalnym.

 Smoki postanowiły zrobić z ludzi rasę telepatów. Znalazły w przeszłości jakiejś zapóźnionej planety obdarowanego, zbadały jego genom, skorygowały tak, żeby w jego potomkach potrzebny gen stał się dominantą, po czym wyprodukowały Shaylę. Wszystkie jej dzieci będą telepatami, i wnuki, i prawnuki. A czy ja chciałbym być telepatą? Doprawdy nie wiem… Shayla nie chce.

 – Znowu nic nie zrozumiałeś! Nie chcę żyć w więzieniu! Chcę na wolność! Tam, gdzie mnie chociaż jeden… Gdzie chociaż z jednym mogłabym porozmawiać. Oni wszyscy mnie nienawidzą! Nie tą sukienkę ubrałam, zerwałam kwiatek, wrzuciłam kamień do kałuży… Za wszystko! Głośno mówią co innego, częstują cukierkami. A myślą: „Żebyś przepadła razem ze swoimi przodkami”. Nikt w wiosce mnie nie lubi. Tylko Artiom i Szalla odnoszą się do mnie normalnie. Ale to są smoki. A mi od smoków głowa pęka. I to są jednak mrokobiesy!

 – Ale zanim twoje geny rozejdą się po całej ludzkości, miną wieki.

 – Jesteś głupi! Na mnie tylko eksperymentują. A potem… Czytałeś o skaczących genach?

 – Tak. Na tej zasadzie wyprodukowano regenerat.

 – No więc tu jest tak samo. Przyjdzie młoda mama po poradę lekarską, zrobią jej tam szczepionkę – i mamy kolejnego telepatę. Mamuśka nawet nie będzie wiedziała.

 – Ale… I tak nie wyjdzie. Wyobrażasz sobie, jaki zrobi się szum za pięć lat, kiedy podrosną pierwsze dzieci-telepaci?!

 – Podniesie się… Myślisz nieprawidłowo. Myślisz, jak zrobić, żeby nie wyszło, a trzeba myśleć jak smoki: co zrobić, żeby na pewno wyszło. Jeśli mutacja przejawi się nie w pierwszym pokoleniu, a w drugim – do tego czasu wszystkich zdążą obrobić. Szum będzie, ale już nie będzie wyjścia. Nikt się nie dowie, skąd wzięła się telepatia. Moi tak zwani rodzice wiedzieli... Nienawidzę!

 – Twoi rodzice cię kochają. Widziałem ich.

 – Co ty tam wiesz? Ojciec przez całe moje życie ani razu nie zdjął tarczy. Boi się, że poznam jego myśli. Raz łańcuszek mu się urwał i tarcza upadła na ziemię. Wiesz, jak on się przeraził? Jakby głowę miał pełną skarbów. A tam zwykłe myśli, jak u wszystkich. Po co je chować? Innym razem tarcza mu się zepsuła i przez dwa dni słyszałam, o czym on myśli. O niczym szczególnym. Jak wszyscy! Że trzeba płot naprawić, że deszcz nie w porę. Całe rano był z siebie dumny, jaka mamuśka piękna i jak ją w nocy wyruchał. Na trzeci dzień przy śniadaniu podeszłam do niego i mówię: „Tato, w twojej tarczy wyczerpała się bateryjka”. Wyobrażasz sobie, co potem było?

 – Matka cię kocha. Widziałem jej oczy.

 – Kocha? Ja CZUJĘ, kiedy ktoś mnie kocha. A jej zupełnie nie czuję. Jak komputer ojca na stole. Przecież to robot! Ona jest zaprogramowana! Głaszcze mnie po głowie, leje łzy po nocach – to wszystko tylko program! Dane: sąsiedzi poskarżyli się na Shaylę. Wykonanie: wypuścić pięć mililitrów słonej wody z oczu. Koniec procedury.

 Tu nie wytrzymałem i wymierzyłem jej policzek.

 – Jesteś po prostu okrutną i obojętną kreaturą!

 Wspomniałem, jak ojciec całymi dniami mozolił się z naszym rodzinnym cyberem Topem. Cybera dostaliśmy po pradziadku, takich już dawno nie produkowano i nie było do niego części zapasowych. Jeśli coś się psuło, albo detal produkowano na zamówienie, albo ojciec z cyberem na wiele godzin znikali w garażu, podłączając nowe części do starych. Wracali do domu lśniący. Ściślej mówiąc, Top lśnił wypucowanym korpusem i nawet był jakby speszony. A ręce ojca były po łokcie w smarze grafitowym albo paście do polerowania. Mama nakrywała do stołu jak na święto…

 Shayla patrzy na mnie oczami kwadratowymi ze zdumienia.

 – Przecież to ROBOT! Kawałek żelaza! Jak można kochać kawałek żelaza? Kochać trzeba żywe istoty! Jaskółki, trawę. One czują, jak się je kocha. A czy można kochać kamień?

 – Jesteś jeszcze głupia! – odpowiadam i idę w dół, gniewnie kopiąc kamienie.

 Oglądam się – stoi gdzie stała. Zwalniam. Jak zechce, dogoni. Z jakiej odległości ona czyta myśli? Czy stąd mnie „słyszy”? I co mam zrobić z tarczą? Zakładać czy nie?

 – Sam myśl! – rzuca gniewnie Shayla. Już mnie dogoniła i idzie równolegle.

 Dobrze jest iść łagodnie pod górę. Prawie się nie męczę. Może zdążymy dojść do lasu przed zmierzchem, choć i tak nie zbudujemy szałasu. Za to robi się cieplej z każdym kilometrem.

 – Przepraszam cię, Niedźwiadku – mówię łagodnie, ale Shayla uparcie odpowiada:

 – I tak nie masz racji. Trzeba kochać to, co żyje, a to, co martwe, wykorzystywać.

 – A czy ty zawsze jesteś w stanie odróżnić żywe od martwego?

 – Czuję to.

 – Widziałaś człowieka w anabiozie?

 – Tak. I czułam go.

 – A wyczułabyś zamrożonego smoka?

 – Chyba nie. – W zmieszaniu porusza powiekami. – Jeśli jest zamrożony, to nie żyje.

 – Ale jak odtaje, znowu ożyje. – Czuję, że nasz spór dla Shayli znaczy bardzo dużo, jest tak ważny, że nawet nie obraziła się za policzek. – Czujesz ziemskie życie. A pozaziemskie?

 – Kir, proszę cię, załóż tarczę. Muszę przemyśleć to do końca, a twoje myśli zbijają mnie z tropu. Myślisz nie w tym kierunku.

 Wkładam medalion. Zapoczątkowałem proces myślowy, ale niezupełnie ten, który chciałem. No dobrze, jakie mamy jeszcze na dziś zagadki? Pod jakim pretekstem wsadzili ją do biowanny? No, tu jest wiele wariantów. Czego ona tak się przestraszyła koło zaspy?

 Dziesięć kilometrów przed lasem zatrzymujemy się na kolację. Shayla ciągle jeszcze jest w transie. Ściąga brwi, marszczy czoło. Myśli. Kochać czy nie kochać zamrożonego smoka?

 – Kir, słyszałeś o rozumnych dinozaurach? – pyta, ocknąwszy się w końcu.

 – Tak.

 – Muszę się z nimi spotkać! Koniecznie muszę! Pomożesz? Jeśli nie usłyszę ich myśli…

 – To co?

 Znowu pogrąża się w transie. Macham przed jej oczami rozczapierzoną dłonią. Uśmiecha się słabo i opędza się ode mnie jak od muchy. Wyjmuje mięso. Shayla podnosi swój kawałek do ust, wącha i odrzuca na bok. Zabiera mi kawałek, wącha i także wyrzuca.

 – Nie czujesz zapachu czy co?

 – Przypomina ser roquefort.

 – Z ciebie kosmodesantowiec … … (nieprzetłumaczalna gra słów).

 Zabiera mi cały pakiet, marszczy nos i wysypuje mięso na trawę. Wyjmuje zapasy ze swojej torby i także wyrzuca.

 – No i po kolacji. – Długo i soczyście klnie.

 – Kiedyś zaszyję ci usta.

 – Sam klniesz, a mnie nie wolno?

 – Ja nie głośno.

 – Kir, dla mnie to nie ma znaczenia.

 Rzeczywiście… Chociaż…

 – Mam na sobie tarczę. Nie mogłaś mnie słyszeć!

 Patrzy spode łba, uśmiecha się, bierze za rękę, ściska dłoń.

 – Wybacz zasrance. Już więcej nie będę.

 Zapinam torbę i maszeruję w kierunku lasu. W brzuchu mi burczy.

 – Z pewnością przy pulpicie siedziała Szalla – mówi Shayla.

 – Przy jakim pulpicie?

 – Tym, z którego nas obserwują.

 Oglądam się na nią ze zdumieniem.

 – Ona wiecznie zapomina o detalach. Torby są czarne, więc na słońcu nagrzewają się, że ho-ho! Trzeba było je schować na te dni do lodówki. Artiom by nie zapomniał.

 Dlaczego się tak zdziwiłem? Jeśli ona jest eksperymentalnym obiektem o tak niesłychanej wartości, większej od dwu planet, to czy mogą zostawić ją bez opieki? Sam bym nie zostawił. Idziemy głodni, aż w brzuchach burczy, a smoki nas obserwują. Składam dłonie w trąbkę.

 – Szallo! Nie bądź leniem, podrzuć nam żarcie! Shayla chce jeść.

 Shayla odwraca się do mnie z otwartą gębą. W oczach ma zachwyt, przechodzący w ubóstwienie. Obejmujemy się wzajemnie za talie, choć iść w objęciach po bezdrożach nie jest zbyt wygodnie. Pokój. Ale czy na długo?

 – Shaylo, czego się tak przeraziłaś przy zaspie, gdy chciałem zostać i popatrzeć, jak taje?

 – Bałam się, że ona się roztopi – a pod nią leżymy my, rozbici na miazgę.

 – Jak to?

 – Myślisz, że smoki potrafią dublować tylko planety? Jeśli się rozbiliśmy, smoki mogły nas zdublować na sekundę przed śmiercią. A ja chcę być sobą, a nie swoją kopią.

 – Pamiętam, że wylądowałem na metalowej płycie, więc na pewno nas podchwycili.

 – Właśnie. A ty nie masz dla mnie ani krzty szacunku – rozlega się nagle wprost z powietrza obrażony żeński głos. – Żadnej wdzięczności. Złapałam was w locie i co słyszę? Same wyrzuty. O torbach zapomniałam, przyznaję. Wy też jesteście winni: źle uwędziliście mięso.

 – Zanim odtworzono mi palce, każda nie włożona do lodówki wędlina by się zep…

 – Dajesz słowo smoka, że jesteśmy sobą, a nie własnymi kopiami? – przerywa mi Shayla.

 – Da…m, jeśli mi obiecasz, że pogodzisz się z papą – odpowiada głos z zaświatów.

 – Obejdzie się – ogłasza Shayla niby wyniośle, ale już wesoło.

 – Niedźwiadku, przestań z nią rozmawiać. – mówię surowo. – Później pogadamy z Mrokiem. – Czuję się trochę jakbym nagle znalazł się w filmie grozy z widmami.

 – Dzieci, nie mówcie papie, że z wam rozmawiałam. Rozzłości się na mnie.

 – Zignorowałaś mą prośbę, więc… – zaczynam. Tym razem przerywa mi głos z zaświatów:

 – Aleś ty wredny! Cybery właśnie kończą napełniać plecak żywnością. Zresztą w zaliczeniu testu na przeżycie nie przewidziano podkarmiania kandydatów.

 – Zaliczenie i tak zawaliłem.

 – Jak to? – zdziwiły się równocześnie Shayla i głos.

 – Spadłem z półki i rozbiłem się. W zaliczeniu nie przewidziano odławiania w powietrzu spadających w przepaść kandydatów.

 – Skąd wiesz, jak się uzyskuje zaliczenie? – obraża się głos. – Jeśli jesteś taki mądry, powiedz „Bum!”.

 – Nie mów – radzi mi Shayla. – Obejdziemy się bez datków.

 – Naprawdę? Wyłączyliśmy kierowanie klimatem, jutro będzie deszcz.

 – Bum! – mówię, płonąc z ciekawości.

 Gdzieś wysoko rozlega się klaśnięcie. Zadzieramy głowy. W ciemniejącym niebie otwiera się kopuła spadochronu. Miga czerwone światełko odblaskowe. Na linach kołysze się zwykły plecak turystyczny.

 – E-e, jeśli dobrze zrozumiałem, wcześniej kierowanie klimatem było włączone? – pytam.

 – Aha! – odpowiada radośnie głos. – Na zamówienie miejscowej ludności. Żebyście w górach nie dostali kataru. Miał być deszcz ze śniegiem, a potem ochłodzenie i gołoledź. Wszystkie kamienie miały być oblodzone i albo zamarzlibyście, albo rozbilibyście się na miazgę. Zrobiłam wam aksamitną pogodę, a mimo to zawaliliście.

 – Szallo, przekaż swojemu ojczulkowi, że to on pierwszy zawalił. Wiedziałam o wszystkim, co on zamyślił, tylko nie zdążyłam uciec! – krzyczy Shayla.

 Po kwadransie siedzimy w nadmuchiwanym namiocie i jemy prawdziwymi łyżkami gorące mięso duszone z bobem z samopodgrzewających się puszek. Oddychamy powietrzem alpejskich łąk i jemy do syta! Raj! Shayla rozkłada śpiwory, długo szuka czegoś po wszystkich kieszonkach plecaka, nie znajduje i ciężko wzdycha.

 – Czego szukasz? – pytam. Jej twarz robi się cała czerwona.

 – Nieważne. Nie udało ci się – odpowiada i włazimy do śpiworów.

 Czy chciałbym mieć żonę-telepatkę? Z jednej strony – żadnej zazdrości bez powodu. Ale z drugiej – jeśli czyjeś nóżki się spodobają?... Nie ukryjesz przed nią żadnej „zapasowej” dziewczyny, nie pohulasz na boku… Niech to diabli porwą! Czyżbym rozważał to na poważnie?

 Jakby ktoś rzucił na dach namiotu garść suszonego ryżu… Znowu… I zaczęło się. Trudno, niech będzie. Teraz nie ma się gdzie śpieszyć. Będę leżał i słuchał deszczu. Będę zachwycał się Shaylą i patrzył, jak przyszywa kieszenie do swojej kurtki. Może bym i ja przyszył sobie kieszeń? Nie, lepiej poczekać, aż skończy, bo dla dwojga może nie wystarczyć ścinków.

 Shayla podnosi głowę, uśmiecha się do mnie ciepło i znów pochyla się nad pracą.

 – Kir, opowiedz mi, skąd na moim bucie ślady twoich zębów. Bo to twoje zęby, prawda?

 Prosić kosmodesantowca o opowieść – to po prostu prowokacja. No bo kto jest najlepszym opowiadaczem w zamieszkałym kosmosie?

 – To było tak. Szła sobie po górach młoda, piękna, zgrabna jak kozica dziewczyna i wysoki, barczysty, silny duchem i przystojny doświadczony kosmodesantowiec – czyli ja. I trafili pod osypujące się kamienie. Ale nie przestraszyli się, tylko odważnie przycisnęli się do skały jak drżące liście osiki przyparte do gałęzi huraganowym wiatrem. I wtedy jednemu małemu, ale złośliwemu kamykowi też spodobała się dziewczyna i postanowił zawrzeć z nią znajomość. Zaznajomił się i poleciał dalej w swoich sprawach, w pełnej zgodzie z prawami aerodynamiki i ciążenia. Ale na dziewczynie to krótkie spotkanie wywarło niezatarte wrażenie. Oszołomiona – czyli stuknięta po głowie – stała kołysząc się na skraju przepaści, jakby wypiła butelkę cieczy, zwanej alkoholem. Jej zgrabne nóżki ugięły się jak trzcina na wietrze i rzuciła się w przepaść w ślad za tym staczającym się łobuzem. Ale silny i przystojny ja krzyknął: „Ocknij się, bezwstydnico! Dobrze wychowanej dziewczynie nie wypada biegać za pierwszym napotkanym. Weź się w garść!”. (W sensie: trzymaj się powietrza). A ty mnie nie posłuchałaś i nie przytrzymałaś się powietrza. I wtedy rzuciłem się na ciebie jak górski lew na kuropatwę i w ostatniej chwili zdążyłem zacisnąć zęby na… no, na tym, czego sięgnąłem. Tak właśnie było!

 Shayla patrzy na mnie z szeroko otwartymi ustami i oczami pełnymi zachwytu.

 – Naprawdę chwyciłeś mnie zębami?

 – A widziałaś gdzieś górskiego lwa z rękami?

 – A skąd u mnie te zadraśnięcia i siniaki na kostce?

 – O-o! To zupełnie inna historia. – Usadawiam się wygodniej. – Lecę sobie, lecę sam, jak górski orzeł pod nieskończonym błękitnym niebem. Jeśli spojrzeć w prawo, otwiera się widok wręcz nieopisanie piękny…A obok przelatuje górska orlica, piękna jak miraż na pustyni! I nie zwraca na mnie zupełnie uwagi. Wyobrażasz sobie: leci w moim niebie – i zero uwagi! Nawet mnie nie pozdrowi! No więc ja chwytam ją za tylną kończynę...

 – A żeby cię! – Shayla rzuca we mnie kurtką – Opowiadaj prawdę.

 – Spróbuj łazić po pionowych ścianach mając obie ręce zajęte. A potem we mnie też trafił kamień.

 – I nie utrzymałeś się…

 – Nie miałem czym. Kamień zmiażdżył mi palce. Odtworzono mi je w biowannie, a ty pewnie przez ten czas spałaś. – Kiwa głową i przez chwilę milczymy. Potem proszę: – Shaylo, opowiedz mi o sobie. I dlaczego tak źle żyjesz ze smokami.

 – Źle żyję?! To są moi wrogowie!

 – Dlaczego?

 – Bo Mrok mnie nie uważa za człowieka. Dla niego jestem wzorcem, obiektem o zadanych cechach. Jestem zrobiona na zamówienie i mam przekazać te cechy potomkom. Koniec! Reszta go nie obchodzi Co ja na ten temat myślę i czego chcę, to go nie interesuje. Jestem zwierzątkiem w jego wiwarium. Teraz doszedł do wniosku, ile nadszedł czas, żebym się rozmnożyła. Dobrał mi rozpłodnika i wysadził z nim na tą planetę. A gdy mnie zapłodnisz, znów rozsadzi nas po różnych klatkach. – Widocznie bardzo się zmieniam na twarzy, gdyż Shayla krzywi się żałośnie i głaszcze mnie po kolanie. – Kir, nie obrażaj się. Strasznie mi się udało, że akurat ty mi się trafiłeś. Inny od razu zacząłby mnie obłapywać, a ty się trzymasz. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem ci wdzięczna. Nigdy nie miałam takiego przyjaciela.

 – Dlaczego? – zadaję dość głupie pytanie.

 – Bo nasza planeta to planeta pustelników. Młodzieży prawie nie ma. Same „osobistości twórcze”, jak ojciec ich nazywa. Malarze, poeci – a tak naprawdę to szmelc. Nie mają nic w duszy, tylko wódkę i baby! Może coś tam kiedyś mieli, ale dawno się skończyło. Mówią, że przyjechali szukać natchnienia. Ależ oni dawno zapomnieli przez popijawy, co to takiego jest natchnienie. No, niektórzy próbują sobie coś tam przypomnieć, ale większość ma to wszystko w nosie. Jeden z malarzy, jak mnie zobaczy, zaraz w myśli rozbiera. Raz zobaczył mnie gołą i teraz ocenia, gdzie i ile przybyło. Marazmatyk! Nieszczęsny pacykarz!

 Shayla wścieka się już na samo wspomnienie, więc próbuję skierować dialog na inny temat.

 – Jak Mrok mógł do czegoś takiego dopuścić?

 – A ty co, myślisz może, że wszystkie co do jednego smoki to geniusze? On spędził niemal całe życie na Strefie. Każdego łotra widzi na wskroś, ale na sztuce zna się tyle, co kura na gwiazdach. Sam ani be, ani me, więc myśli, że, jeśli ktoś cokolwiek stworzył, to już jest rycerzem bez trwogi i skazy, ma kryształową duszę, złote serce i tak dalej. Tylko nie waż mi się myśleć, że ja go usprawiedliwiam. Ja go oskarżam, rozumiesz?

 – Wiesz, czego tu nie rozumiem? To wszystko jest zbyt skomplikowane. Po co wysyłać nas na tą planetę? Mogliby mnie do was zwabić pod stosownym pretekstem, choćby na staż.

 – Ależ tam ja bym na ciebie nawet bym nie spojrzała. Uciekłabym w tajgę – i tyle byś mnie widział. A tutaj jest nas dwoje na całą planetę. Gdzie ja się tu przed tobą ukryję?

 – Mrok to wszystko przewidział już siedem lat temu, czy co? No, że ta planeta mu się przyda, żeby nas spa… znaczy się, wysadzić tu razem?

 – On jest smokiem. Smoki wszystkie warianty przewidują na sto lat wcześniej. No, może i konkretnie czegoś takiego nie przewidywał, ale planeta zawsze może mu się przydać. Zwiększa w jego planach swobodę manewru. Czy to źle mieć taką planetę pod łapą?

 – Opowiedz coś jeszcze o smokach.

 – Ależ ja nie znam właściwie smoków, tylko mrokobiesy. Aha! Jeszcze coś o Mroku. Gdy Artiomek i Szalla mieli po trzy lata, ułożyli na podłodze jakąś mozaikę, potem ją sfotografowali. Mrok powiesił tą fotografię na ścianie i godzinami na nią patrzy, starając się ją zrozumieć. Wpatruje się w nią i myśli. Z dumą i zazdrością. Jak to możliwe, że dzieci rozumieją abstrakcyjną sztukę, a on nie? A wiesz, jak to jest, kiedy smok myśli z pełną intensywnością? Głowa puchnie! Nie śmiej się, ale od czasu tej mozaiki on ich uważa za dorosłych.

 – To ty możesz czytać także myśli smoków?

 – Oczywiście że mogę. Tylko że głowa mi od tego pęka.

 – Dlaczego?

 – To tak, jakbyś ty słuchał dziesięciu ludzi, krzyczących ci wprost do ucha. Poza tym smoki myślą bardzo szybko. To coś jak nagranie dźwięku, puszczone w przyśpieszonym tempie. U nich każda wyraźna myśl po kilka razy odbija się echem, i to bardzo głośno. To czysta fizyka. Ich włókna nerwowe przewodzą szybciej sygnały, mózgi pracują więc jakby z większą częstotliwością. A im większa częstotliwość, tym więcej energii uchodzi w eter. Dlatego jest mi bardzo ciężko, kiedy obok jest smok. W tłumie też jest ciężko. W wielkich miastach po prostu nie jestem w stanie wytrzymać. Kilka razy próbowałam – i myślałam, że umrę na miejscu.

 – A medalion?

 – Tarcza? Zatkaj uszy, włóż okulary z nieprzeźroczystymi szkłami i malutką dziurką pośrodku i pochodź tak z godzinkę. Bardzo przyjemnie? Przywykłam do słuchania wszystkiego, co żyje dookoła mnie.

 – Shaylo, a czy ja mógłbym usłyszeć?... Jeśli oboje włożymy hełmy senso?

 – Za późno, Kir. Usłyszeć usłyszysz, ale nic z tego nie zrozumiesz?

 – Dlaczego?

 – Tego trzeba się uczyć od dzieciństwa. Rozumiesz łacinników?

 – Mogę nauczyć się łaciny.

 – Zajmie ci to co najmniej miesiąc. Poza tym każdy człowiek myśli w swoim języku. Nawet kiedy myśli słowami, w mózgu i tak ma swój język. Dlatego nie mogę oglądać sensofilmów.

 – A czemuż to właściwie?

 – Widziałeś „Nieskończony pościg”? Jesteś jeźdźcem. Widzisz, jak droga niesie cię naprzód, słyszysz tętent pogoni za sobą, czujesz ruchy konia pod tobą, wiatr na twarzy, cisnące buty. A ja w dodatku słyszę, co aktor przy tym myśli. Że kostiumer, drań, znów nie te buty wydał. Ze jeśli zdjęcia będą wybrakowane, trzeba będzie czekać cały dzień, nim odciski z dupy zejdą, a potem pogoda się zepsuje. A jeśli ten zasraniec zamiast Stopkadra znowu da mi tego rudego wałacha, odmówię zdjęć. Stopkadr jest wprawdzie płochliwy, ale nie podrzuca zadem. I tak cały film. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie świństwa robi się przy zdjęciach.

 – Jak nauczyłaś się rozumieć wszystkich ludzi?

 – A jak ty się nauczyłeś mówić? Słuchałeś, co mówią dookoła. Poza tym mam mózg odrobinę przyśpieszony. Dlatego od razu wjeżdżam w każdy obcy język wewnętrzny. Jak to mówią poligloci z planety łacinian: trudno opanować tylko dziesięć pierwszych języków. Dalej już samo idzie.

 – Czekaj, jeśli dobrze wszystko zrozumiałem, smoki wzięły geny Wszechmogącego, wzmocniły jego zdolności i stworzyły ciebie, tak?

 – Nie wzmocniły, tylko osłabiły, no i ustabilizowały, żeby nie zgasły w moich potomkach.

 – Jak to: osłabiły?

 – A co, myślisz może, że Wszechmogącego nazwano Wszechmogącym bez powodu? Mój prawdziwy ojczulek był telepatą o nieprawdopodobnej sile. Ja jestem telepatą zwykłym, a on był projekcyjnym. Pojmujesz różnicę? Ja tylko czytam myśli, a on kierował ludźmi na odległość. Największym problemem przy tworzeniu mnie było właśnie oddzielenie telepatii zwykłej od projekcyjnej. Gdyby nie zdołali rozdzielić, z projektu nic by nie wyszło.

 – Shaylo a na jaką odległość działa twój dar?

 – U ojca było to aż trzysta metrów. U mnie dziesięć, maksimum dwadzieścia. Potem do pięćdziesięciu, czasem nawet stu metrów już nie rozumiem, ale czuję, że ktoś tam jest. Przy większej już nic nie odbieram.

 – A po co smokom rasa ludzi-telepatów?

 – Nie smokom, tylko Mrokowi. Uważa, że ludzie wyczerpali się jako gatunek i czas wyrzucić ich na śmietnik. Są moralnie przestarzali, głupi, kłamliwi, zawistni, nie ma dla nich nic świętego. Jednym słowem, hamulec. Kamień u szyi smoków. A jeśli tak, to trzeba ich zastąpić przez coś bardziej rozwiniętego.

 – Przez ciebie – mówię ze złością.

 – Aha… Teraz już rozumiesz, dlaczego nie wolno mi mieć dzieci.

 „O Boże, na kogo ja się złoszczę?” – myślę. – Przecież Shayla nie jest niczemu winna, sama jest ofiarą. Biedna dziewczynka. Co z nią będzie? Co będzie z nami?”.

 – Ze mną nic strasznego nie może się stać. – Słyszę jej słowa. – A z tobą Mrok może zrobić wszystko, co tylko zechce. Szalanda rozbiła się, więc może cię nawet zabić.

 „Przecież nie mówiłem głośno!” – pomyślałem przerażony.

 – Kir, ty wczoraj zdjąłeś tarczę i położyłeś ją daleko od siebie. Słyszę wszystko. – Gorączkowo przypominam sobie, o czym myślałem. – Ależ nie bój się. Ty miałeś same dobre, ciepłe myśli. Zupełnie inne niż te chłopy z naszej wioski. Z tobą bym się chętnie położyła, ale nie mamy antykoncepcji… Co się tak czerwienisz, przecież to właśnie chciałeś usłyszeć. Ja już wiem, że nie miałeś przede mną żadnej dziewczyny i o twojej skrytej miłości do Lindy. I ja też nikogo nie miałam. Wiesz co, umówmy się, że kiedy jesteś bez tarczy, będę ci mówiła tylko prawdę.

 „ A to dopiero warunek! A jeśli się pokłócimy?”.

 – Byłabym ostatnią suką… Właśnie z tego powodu kłóciłam się ze wszystkimi w wiosce. Myślałam, że Mrok zrozumie, iż z jego zamiarów nic nie wyjdzie. Ale on twierdzi, że, kiedy już wszyscy będą telepatami, żadnych problemów nie będzie. A ja jestem ofiarą okresu przejściowego, więc muszę cierpieć i wybaczyć. Niechby tak sam posiedział z dupą na ognisku, cierpiał i wybaczył, cholernik!

 – Nie klnij, znowu cię ponosi.

 – Przepraszam.

 – A co do tego, że on… może mnie… zabić, to ty poważnie?

 – Nie odważy się! Jeśli to zrobi, będę się codziennie zabijała, aż go zmęczy ciągłe wskrzeszanie. Słyszysz mnie, Mrok?!!! A tak w ogóle, to on to może zrobić, dla niego to jak zjeść bułkę z masłem. Przecież on uciekł ze Strefy wchodząc w ciało smoka. A tam, jeszcze jako człowiek, ukatrupił tylu ludzi… Opowiadał mi o tym ojczulek. On też powinien był trafić na Strefę, ale to był szczególny przypadek. Zrobiłby się z tego taki szum, że przyniosłoby to więcej szkody niż pożytku, więc Wielki Smok postanowił pójść inną drogą. Zamiast podnosić szum, umieścił przy ojczulku cybera, który nie pozwalał mu zachowywać się jak błazen. Ten cyber to właśnie moja mamuśka. Potem ojczulek niby to zakochał się w niej bez pamięci, a Wielki Smok za to mu przebaczył i zaprogramował mamuśkę tak, że ona niby też kocha ojczulka. A później ojczulek zwąchał się z Mrokiem.

 Kładę się na brzuchu, słucham, jak deszcz bębni po dachu i wspominam oczy kobiety-cyborga, matki Shayli.

 – Wiesz, Niedźwiadku, nie czytałem dużo o cyborgach. Słyszałaś o Szkodniczkach? To też cyborgi, ale uważane są za istoty rozumne. Wiem na pewno, że w Centralnym Synodzie wprowadzono poprawkę do prawa, która uznaje je za żywe. Nastawał na to sam Wielki Smok.

 – No jasne, że słyszałam! To „rodzone” siostry mojej mamuśki: zeszły z jednego transportera. Tylko że one nienawidzą ojczulka, dlatego ich stosunki z mamuśką są… no, złożone. A Mroka boją się jak ognia.

 – Mam cię! Maszyna nie może nienawidzić czy bać się!

 – Kir, nie trzeba, dobrze? Gdybym miała prawdziwą matkę, kochałaby mnie i nie dopuściłaby do mnie Mroka na odległość strzału armatniego. A ta… – I znowu z wściekłością: – Kto nie z nami, ten przeciwko nam! Zrozumiałeś!?

 – A kto jest z nami? – pytam ponuro.

 – Ty ze mną, a ja z tobą.

 – A mamy szanse na zwycięstwo?– pytam. Shayla długo milczy.

 – Nie wiem… – odpowiada wreszcie po pięciu minutach. – Ale dopóki Mrok ma nadzieję, że wszystko idzie zgodnie z jego planem, nie będzie tworzył drugiego telepaty. Poza tym zawsze może się wydarzyć coś takiego… dobrego. A na razie po prostu żyjmy sobie.

 – Królikowi doświadczalnemu i rasowemu rozpłodnikowi wypożyczono planetę, której nie ma w żadnym katalogu. Już wiem, co on z nami zrobi. Po prostu zapomni o nas, kiedy dojdzie do wniosku, że jego eksperyment spalił na panewce.

 – Kir… Jesteś naprawdę dobry. Trafiłeś tu z mojego powodu. Zrobię wszystko, żeby ci tutaj było dobrze. Wierzysz mi?

 – Oczywiście, Niedźwiadku.

 Utknęliśmy na tej planecie na całe życie. Jesteśmy robinsonami. Nie, jeszcze nie. Na razie jesteśmy małpkami w zoo. Siedzimy w największej klatce świata, a smoki na nas patrzą. A gdy sprzykrzy się im na nas patrzeć, odejdą i zostaniemy robinsonami. Pytanie: czy lepiej być małpkami, czy robinsonami? Małpka może poprosić widzów o cukierka albo banana. Widzom nie żal, dadzą. Szalla niedawno zrzuciła nam cały plecak cukierków. Robinsonów podkarmiać nie wypada, ale i nikt im nie zagląda w pościel. No i robinson to brzmi dumnie, o wiele dumniej niż małpka. Tak, utknęliśmy na tej planecie na całe życie…

 Z pewnością nikt nigdy nie miał tak prostego, praktycznie niezauważalnego wesela, jak ja. Nad ranem śniła mi się Shayla. Otworzyłem oczy, a ona patrzy na mnie i uśmiecha się łagodnie I wtedy zrozumiałem, że ona nie ma nikogo, oprócz mnie. I nie będzie miała. Odpowiadam za nią. Ona popatrzyła mi w oczy i powiedziała:

 – Zgadzam się.

 I to było całe nasze wesele. Stałem się żonatym człowiekiem, skazanym na wstrzemięźliwość. Dobre! To mogło się przydarzyć tylko mnie. Nie na darmo nazywali mnie w dzieciństwie ciamajdą.

 Trzeba myśleć, jak żyć. Siedem lat temu żyli tu ludzie. Zobaczymy, co po nich zostało. Odchodzili przecież na dobę, nic nie zabierali, ale i nie przysposabiali do długiego przechowywania.

 – Kir, tylko nie osiedlajmy się w dużej wiosce – mówi Shayla. – Lepiej gdzieś na uboczu. Patrzeć, jak domy niszczeją bez gospodarzy – to takie przykre…

 Już prawie przywykłem do jej maniery rozmowy. Gdy ja myślę, a ona odpowiada głośno.

 Składamy namiot, zbieramy rzeczy. Ostatni raz patrzę na mapę, wkładam plecak na plecy, pikę na ramię i ruszamy w drogę. Gdzieś przed nami jest rzeka, ale jak daleko – trudno ocenić. Na arkusiku wielkości kartki zeszytu narysowano jedną ósmą całej powierzchni planety. Dzień dzisiaj – przecudny! Powietrze takie, że kiedy się je nabierze, aż żal wydychać. Ale ja już nigdy nie zobaczę kolegów z naszej grupy, nie dowiem się, czy zorganizowano u nas wydział ksenopsychologii, czy nie. Moje ręce nigdy nie obejmą dźwigni sterowniczych małego kutra desantowego, a niebo na ekranie przedniego lokatora nie będzie zmieniało barwy od błękitnej do ciemnofioletowej w czasie lotów treningowych.

 Pod wieczór wychodzimy na brzeg rzeki. To nie ta, która jest na mapie, tylko jej dopływ. Można ją przejść w bród po kamieniach. Na jednym brzegu rosną sosny, na drugim brzozy. Ja chcę zatrzymać się na sosnowym, Shayla na brzozowym, ale szybko mi ustępuje. Rozbijamy namiot i wchodzimy do rzeczki kąpać się. Woda zimna aż strach i bardzo mokra. W basenie nie zdarza się taka mokra woda! Wyłazimy i uczymy się rozpalać ogień bez pomocy zapalniczki. Bywała mieszkanka tajgi Shayla tego nie umie, zawsze brała ze sobą zapalniczkę. Ja teoretycznie znam aż dziewięć sposobów, ale w praktyce nigdy nie próbowałem. No i przetwarzamy teorię w praktykę. To jest bardzo wesołe i ciekawe, ale ognia nie ma. W końcu odkładamy eksperymenty do rana i Shayla podpala ognisko zapalniczką. Zaczyna robić się zimno. Shayla ubiera futrzaną kurtkę, uśmiecha się figlarnie i naciąga na głowę kaptur. O Boże! Do kaptura przyszyła uszy!

 – Czeburaszka[[1]](#footnote-2)! – mówię.

 – Niedźwiadek! – Oburza się Shayla i rzuca we mnie szyszką.

 Uchylam się zręcznie przed szyszką i… uderzam głową w drzewo.

 – Też nieźle – komunikuje Shayla.

 Przy kolacji zastanawiamy się, czy Czeburaszka mógł być niedźwiadkiem i na odwrót. Po kolacji patrzymy, jak dopala się ognisko i idziemy spać. Długo wspominam łąki Hanuanua i dżungle Lavandy, a Shayla zaczyna płakać i kląć smoki najgorszymi słowami. Potem szuka tarczy, znajduje ją i wkłada mi pod poduszkę.

 Rano ma oczy czerwone i zapłakane. Prosi, żebym włożył tarczę. Rozumiem to tak, że będzie mówiła nieprawdę. A dlaczego? Dlatego, że to nie będzie przeznaczone dla uszu smoków. Shayla patrzy mi w oczy i ledwie zauważalnie kiwa głową. A ja będę musiał domyślać się, co ona chciała przez to powiedzieć.

 „Tak żyjemy – myślę nieco abstrakcyjnie. – W klatce. W szklanej klatce. Najpierw sama Shayla, teraz i ja. Klatka wielkości planety, ale klatka. Nie, do diabła! Figa! Tym razem się przeliczyłeś, Mrok! Jestem kosmodesantowcem! Chcesz, żeby kosmodesantowiec żył w klatce? No to źle znasz kosmodesantowców!”.

 I od razu robię się spokojny. Jak przed zaliczeniem z pilotażu. Ręce trochę drżą, ale mózg pracuje szybko i sprawnie. Trzeba tylko wszystko uwzględnić i przygotować plan. Shayla już wszystko zrozumiała i teraz ospale klnie – tak po prostu, można powiedzieć, że retorycznie.

 Smoki są potężne, ale nie wszechpotężne. Są obojętne na cierpienia Shayli, ale nie ze złośliwości. Uważają, że szczęście jednego człowieka można poświęcić dla jasnej przyszłości całej ludzkości. Cholera! Jeszcze tydzień temu sam tak uważałem i plunąłbym w twarz każdemu, kto nie zgodziłby się z tym stwierdzeniem. A teraz? Kiedy dopiekło mi do żywego, kiedy człowiekiem, którego szczęście trzeba poświęcić, jest Shayla? Plunąć w górę i podstawić mordę? A potem położyć się na dziewczynce i uszczęśliwić ją niemowlakiem, żeby zadowolić smoki? Najśmieszniejsze, że mi wybaczy. Wszystko mi wybaczy. Ona już taka jest.

 I nagle już wiem, co możemy zrobić. Zdejmuję powoli tarczę i myślę:

 „Słuchaj mnie, Shaylo, słuchaj, nie przerywaj. Nie mogę głośno mówić, ale smoki nie umieją czytać myśli. Zrozumiałaś? Będę do ciebie mówił myśląc. A ty będziesz mi odpowiadała alfabetem Morse’a, którego cię nauczę, na przykład pociągając mnie za uchu. Wszystko nam wyjdzie! Mam taki plan, że palce lizać! Smoki grają w swoją grę, choć udają, że się nie mieszają. A my zagramy w swoją grę. Przykryjemy cały ich projekt miedzianą misą”.

 Zrozumiała, Shayleczka, zuch! Zrozumiała wpół słowa, a raczej wpół myśli! Tylko przestań się uśmiechać! Zachowuj się naturalnie!

 Uśmiech, zaledwie się narodził, przechodzi w złośliwe szczerzenie zębów.

 – Po co zdjąłeś tarczę, łajdaku! Nie klnij, dobra? Sam nakryj się miedzianą misą!

 – Nie marudź! Muszę pomyśleć nad tym, co powiedziałaś.

 – Nakryj się tarczą i myśl sobie, ile chcesz!

 – Sama się nakryj! Nie daje mi myśleć! Czuję się pod nią jak idiota. Zagłusza moje myśli.

 – To wszystko kłamstwo! Wmówiłeś sam sobie! Po prostu nie masz czym myśleć!

 – Niech ci będzie, Powiedziałem – nie marudź. Myślę.

 – Nie wierć mi dziury w uchu. On – myśli!

 Dobre, co? Dwóch półgłówków siedzi plecami do siebie i leniwie się kłóci. Idylla! A w rzeczywistości przez ten czas wykładam Shayli swój plan. Szczegółowo. Z obrazkami, jeśli ona je widzi. Nie wiem, jak ją o to zapytać. No, Shayleczko, kochana, jeśli się zgadzasz...

 – Ty sukinkocie! – wybucha Shayla. – Nie będzie tego, zrozumiałeś, świntuchu! Choćbyśmy mieli tu zdechnąć, nie będzie! Ty knurze! Przeciw mnie jesteś szczeniakiem!

 – Patrzcie ją, ale niedotykalska! Nadzieja ludzkości! Promień światła w krainie ciemności! Zamknij gębę! Nie znasz innych słów prócz przekleństw? Wiesz, kim naprawdę jesteś? Fontanną fekalii!

 Dalej jest jeszcze kwieciściej. Ja krzyczę na nią, że jest egoistką, ma ludzkość w dupie, myśli tylko o sobie. Ona – że ze mnie kozioł, seksualny wyrodek, plugawiec, gnida, że lepiej już położy się z gibbonem… Zrywam się, łapię ją za ramiona i… odskakuję z podniesionymi rękami i kwadratowymi oczami. Cofam się, aż opieram się plecami o pień sosny. Robię krok w przód i jak pajacyk na sznurkach zaczynam robić przysiady – ciągle jeszcze z bezsensownie podniesionymi rękami.

 – Siad! Wstać! Siad! Wstać! – komenderuje Shayla, wyszczerzywszy się jak zwierzę. – Swołocz! Siad! Wstać! Ty gadzie! Szczeniaku! Gnido! Siad! Wstać!

 – Puść, suko! – chrypię.

 Chwytam się gałęzi, ale moje nogi ciągle podrygują, jakbym kontynuował przysiadanie.

 – Chcesz się pobawić w małpkę? Więc właź na palmę, ty gnojku! – komenderuje dalej Shayla.

 I włażę! Podciągam się prawą ręką, chwytam lewą za sęk, podciągam się na lewej, chwytam prawą… Pięć metrów w pięć sekund. Prawie bez pomocy nóg.

 – Wiesz, kto był moim prawdziwym ojcem? Wszechmogący! – krzyczy z dołu Shayla. – Sądzisz, że ja potrafię tylko czytać myśli? Smoki też tak sądziły. Figa z makiem! Wszystko potrafię! Będziesz mi służył jak piesek! Ależ marzyłam, żeby podusić was wszystkich w wiosce waszymi własnymi rękami! Tyle lat się powstrzymywałam! Ale z tobą to już nie wytrzymałam! Niech nawet smoki zrobią ze mnie miazgę, ale na tobie się odegram! Odegram się za wszystko! Złaź, gadzie!

 Przez całą tą przemowę wiszę na jednej ręce i zgrzytam zębami. Usłyszawszy komendę, zaczynam złazić, podrygując jak kukiełka. Na wysokości trzech metrów chwytam suchy sęk, ten oczywiście się łamie i spadam z krzykiem na ziemię. Natychmiast przetaczam się kilka razy i uderzam twarzą w medalion. W tarczę! Podnoszę się i, nie śpiesząc się, wkładam ją na szyję. Shayla patrzy na mnie z przerażeniem i blednie po prostu w oczach. Idę ku niej powoli i groźnie, jak czołg. Dziewczynka przychodzi do siebie. W jej oczach strach i brak nadziei.

 – Zabij mnie – prosi.

 Zbijam ją z nóg ciosem w policzek. Z rozbitej wargi cieknie krew. Odwracam się i siadam na ziemi. Wstyd mi za siebie. Wściekłem się jak zwierzę. A za plecami płacze Shayla.

 – Kir, wybacz mi, proszę. Już nigdy sobie na to nie pozwolę. Jeśli mi nie wybaczysz, powieszę się, daję słowo. Nie mam nikogo prócz ciebie. Zupełnie nikogo. Rób ze mną co chcesz, tylko mnie nie opuszczaj.

 Czuję plecami ciepło jej ciała. Odwracam się i tulę jej drżące ramiona. I chyba sam płaczę.

 – Teraz już wiesz, dlaczego mi nie wolno? Ale jeśli zechcesz, ja… – pochlipuje Shayla. – Jestem nieudanym doświadczeniem. Wiesz, co się robi z trującymi odpadami? Likwiduje się je. Dziesięć lat się powstrzymywałam. Ukrywałam, żeby mrokobiesy nic a nic o tym nie wiedziały… Żeby nie zrozumiały, nie przestraszyły się. Wszechmogący był barbarzyńcą, a mimo to utopił we krwi pół planety. A wyobrażasz sobie, co mógłby zrobić w naszych czasach? Mrokobiesy nie bez powodu trzymały mnie na oddzielnej planecie. Teraz mnie zabiją, na pewno już mnie zabiją. I ciebie także.

 – Wszystko będzie dobrze, moja maleńka.

 – Ty nie znasz Mroka. Zmęczyło mnie już banie się go. Jesteśmy dla niego jak pionki w grze. Szalanda wybuchła – czyli nas już nie ma na świecie.

 – Hej, wy! – krzyczę w przestrzeń. – Słyszycie nas, łajdaki? Mam dla was uczciwą propozycję. Shayla już wam niepotrzebna, a ja tym bardziej. Więc zapomnijcie o nas. Zrzućcie nam wór prezerwatyw i pigułek i wynoście się z tej planety. To najlepsze wyjście dla wszystkich. Zniszczcie wszystkie zero-latarnie i uciekajcie z tego continuum. Zostawcie nam dwojgu całą planetę i nie będziemy mieli do was o nic pretensji. Dajcie tylko leki. Przyjmiecie te warunki?

 W odpowiedzi – cisza. To zrozumiałe. Smoki muszą uświadomić sobie, co się stało.

 „Jak myślisz, uwierzyli?” – pytam w myśli Shaylę. Przypominam sobie o medalionie, zdejmuję go i powtarzam pytanie.

 „Tak” – odpowiada ledwie dostrzegalnym ruchem głowy, cały czas płacząc na mojej piersi.

 „A nie przesadziliśmy w tej grze?”

 „Nie”.

 „Więc przestań płakać. Bo jak nie, to ja też się rozpłaczę”.

 Shayla przyciska się do mnie jeszcze mocniej i znowu płacze na całego.

 – Wszystko będzie dobrze. Wierz mi. Wszystko będzie dobrze. – powtarzam szeptem i całuję ją w czoło, w oczy, w mokre, słone policzki.

 Prawie całą noc nie spałem. Męczyłem się i kręciłem, wspominając niedawny spektakl. Przecież ja wtedy wściekłem się naprawdę, i Shayla naprawdę zamieniła się w diablicę. No i mogą nas teraz naprawdę zabić.

 A Shayla wypłakała się i teraz spała, posapując sobie słodko przez nos. I wtedy zrozumiałem, czym ona się różni od innych dziewczyn: rozmachem uczuć. U niej wszystko jest na pełny gaz. Jak nieszczęście – to czarna rozpacz. Jak radość – to do cielęcego zachwytu, do szczenięcego pisku. Jak nienawiść – to najsroższa, najstraszniejsza. Jak upór – to nieugięty. Ależ ona wtedy szła po górach… Prędzej padnie, niż powie, że się zmęczyła. A normalnej jej nie widziałem, chyba nie zna w ogóle tego stanu. Teraz śpi i uśmiecha się radośnie, z pewnością śni się jej coś bardzo przyjemnego. I obudzi się radosna. Co to z nami będzie?

 Eugenika jest surowo zakazana. Nawet prośby o naprawienie wad genetycznych za każdym razem są rozpatrywane przez bardzo wysokie instancje. A jaki był szum, kiedy odkryto, że mieszkańcy którejś z nowych planet są całkowicie odporni na szkorbut. Czy stało się to naturalnie, czy postarał się o to ktoś z pierwszych kolonistów, któremu sprzykrzyło się żreć witaminy – nie udało się wyjaśnić. Planetę zamknięto, a kolonię rozsiedlono. Z punktu widzenia logiki było to najgłupsze, co można było wymyślić. Skorygowane geny rozeszły się po całym kosmosie i teraz, po wielu pokoleniach, ludzkość zapomni, że kiedyś istniała taka choroba – szkorbut. Ale to tylko zwrot tego, co straciliśmy. Przecież małpy na szkorbut nie chorują…

 A co zrobią ludzie, dowiedziawszy się o Shayli, która od stóp do głów jest rezultatem eksperymentu genetycznego?

 – Nic nie zrobią – mamrocze, obudziwszy się, Shayla. – Zapomniałeś, że moja mama jest cyborgiem. I to stworzonym przez Wielkiego Smoka. Nie ma prawa, które zakazywałoby tworzenia cyborgów. Ja to wiem. A nawet, jeśli coś pójdzie nie tak, mrokobiesy i tak się wykręcą. Przecież mamy nie stworzył Mrok, tylko Wielki Smok. – Przewraca się na drugi bok i przytula policzek do mojej dłoni.

 Przełom! Shayla pierwszy raz nazwała swoją matkę mamą, a nie mamuśką.

 – To tylko dla ciebie – mamrocze sennie Shayla i znowu zasypia. Ja wreszcie też.

 Budzi mnie jej radosny wrzask.

 – Wygraliśmy! – piszczy prawie na granicy ultradźwięku. – Kir, zobacz, wygraliśmy!!!

 Wyglądam z namiotu. O Boże, toż to istna wystawa sprzętu turystycznego! A pośrodku niej Shayla tańczy jak wariatka. Dwa wyładowane po brzegi plecaki, składany wózek, nadmuchiwana tratwa, szklano-plastikowe kusze i dużo bełtów do nich. Kusze dlatego, że nie wymagają akumulatorów. Wygląda na to, że rzeczywiście zwyciężyliśmy. Będę żył na tej planecie do późnej starości… Wiwat!

 – Kir… – Uśmiech znika z twarzy Shayli.

 – Wszystko się zgadza, moja maleńka. Sam tak postanowiłem.

 – Nie jestem maleńka. Jestem twoją żoną. Tu – pokazuje pakiecik – są środki antykoncepcyjne. Zaraz je wypróbujemy.

 – Wieczorem.

 – Jak mój władca sobie życzy.

 – Ej! A ile masz lat?

 – Kir, ty jeszcze nie wjechałeś. – mówi poważnie Shayla. – Głupie prawa już nas nie dotyczą. Możemy sobie ustalać prawa jakie chcemy. A fizycznie już dojrzałam. W przeciwnym razie smoki by mnie z tobą nie puściły. Zresztą i tak nie mam zamiaru mieć dzieci.

 „Nad tym też trzeba będzie pomyśleć”. – Zakarbowuję sobie w pamięci. Shayla momentalnie cichnie. Ma w sobie coś wschodniego, zarówno w wyglądzie, jak i w charakterze.

 – Jak myślisz, czy smoki jeszcze nas obserwują?

 – Oczywiście że obserwują! To straszni paranoicy! – Shayla już grzebie w plecakach.

 Podnoszę mapę. To prawdziwa mapa, nie atlas całej planety na dziesięciu arkusikach. Zaznaczono na niej wszystkie osady ludzi. Do najbliższej mamy około stu kilometrów i, zgodnie z moimi przypuszczeniami, znajduje się na brzegu rzeki. Dwa-trzy dni na tratwie, i już tam jesteśmy. Budowali ją ludzie, więc jest na powierzchni. Smoki budują swoje pałace pod ziemią. Mówią, że tam jest dużo nikomu niepotrzebnej przestrzeni i nie niszczy się przyrody.

 Składamy namiot, ładujemy barachło na tratwę i odbijamy od brzegu. Shayla z początku próbuje wiosłować, ale tratwa to nie łódka. Trzeba wiosłować we dwójkę. A ja układam się jak najwygodniej i lubuję się błękitnym niebem. Shayla się złości. Wyjaśniam jej, które zamki błyskawiczne i rzemyki trzeba zapiąć, żeby tratwa zamieniła się w łódkę. Ale to jutro, gdyż najpierw trzeba rozładować tratwę i spuścić z niej powietrze. Shayla niechętnie zgadza się i bada zawartość plecaków. Mamy teraz trzy plecaki, dwie torby i tratwę, która też składa się jak plecak. Jeśli z tyłu powiesić jeden plecak, drugi z przodu, a torbę i kuszę wziąć do rąk, to wszystko można będzie przenieść na jeden raz. Tylko niedaleko, do diaska. To po 40 kg na człowieka. Nie, 50 i 30. Według ustawy na Shaylę może przypadać nie więcej niż 20, ale ja z 60 daleko nie zajdę. A może 55 i 25?

 – Trzydzieści! – mówi Shayla.

 – Będziesz komenderowała, gdy będziesz w moim wieku.

 – Słucham, kapitanie! – Ale twarz ma tak złośliwą, że wiem, iż nie posłucha.

 Po pięciu minutach całe dno tratwy zawalone jest rzeczami, wywleczonymi z plecaka.

 – Kapitanie, co to jest?

 – Radiostacja. Naciskasz guzik i rozmawiasz.

 – Z kim?

 – Zaraz się dowiemy. – Zabieram jej radiostację i mówię do mikrofonu: – Jestem tu, jestem tu, jestem tu. – Odbicie głosu wyraźnie dochodzi z drugiego plecaka.

 Zachwycona Shayla piszczy „I-i-ja!” i wkłada tam rękę. Wyjmuje drugą radiostację, obwąchuje ją jak zwierzę ze wszystkich stron, tylko nie oblizuje, i przypina do przedramienia.

 – Do góry nogami – komenderuję – Wtedy będziesz mogła nacisnąć także podbródkiem.

 – Ale tu jest narysowane…

 – To mądrość ludowa. Na wypadek, gdybyś miała obie ręce zajęte.

 Shayla posłusznie obraca radiostację i przypina drugą do mojej ręki. Mówię jej w myśli dziękuję, po czym, też w myśli, przekazuję jej wszystkie zapamiętane punkty ustawy, dotyczącej zachowywania się na niezamieszkałych, ale posiadających biosferę, planetach. Shayla słucha z zapartym tchem, czasem tylko prosi o wyjaśnienie jakiegoś terminu. Tak się tym zaabsorbowaliśmy, że nie od razu zwróciłem uwagę na szum. Porównuję z mapą. Nie umawiając się, chwytamy za wiosła i przemy do brzegu. Do diabła, żeby tak zgodnie wiosłować, trzeba tygodnia treningu! Shayla pokazuje mi język. Telepatia ma naprawdę swoje plusy!

 „«A teraz, jeśli kobiety na chwilę zamilkną, usłyszymy ryk wodospadu Niagara» – powiedział przewodnik” – przekazuję w myśli Shayli.

 Przywiązujemy tratwę do drzewa i szybko wkładamy rzeczy z powrotem do plecaków.

 – Pójdę na zwiad – mówi Shayla. Proponuję jej wziąć kuszę.

 Gdy tylko znika za drzewami, z radiostacji zaraz się rozlega:

 – Pierwszy, pierwszy, tu drugi! Sprawdzian łączności!

 „Słyszę cię, Niedźwiadku” – odpowiadam odruchowo w myśli.

 – Kir, taki z ciebie leń, że nie chce ci się nacisnąć guzika? – obraża się Shayla.

 Naciskam i odpowiadam formalnie. Po dziesięciu minutach dochodzi z radiostacji:

 – Pierwszy, pierwszy, tu drugi! Widzę porohy. Dużo szumu, ale nic strasznego. Można przepłynąć wzdłuż lewej strony... Z prawej się nie da, kamienie. Jak zrozumiałeś? Odbiór.

 – Zrozumiałem, zrozumiałem. Odbiór – odpowiadam.

 – Koniec łączności – słyszę z radiostacji.

 Shayla cieszy się nową zabawką jak pierwszaczek. Nagle domyślam się, że ona trzyma w rękach komunikator po raz pierwszy w życiu. Wcześniej nie miała po prostu z kim rozmawiać. Matką gardziła, ojca ignorowała, sąsiadów nienawidziła. Porozumiewanie się przez komunikator w wiosce, którą można od końca do końca przejść w pięć minut, nie jest praktykowane. A dostęp do zewnętrznej sieci komputerowej widocznie przed nią zamknęli, żeby nie rozpowiedziała o sobie.

 – Kir, ty dosłownie jakbyś czytał moje myśli! – mówi Shayla, pojawiając się na brzegu. – Aż trochę się zlękłam. Myślałem, że komunikowanie się przez urządzenia nie jest ciekawe, gdyż nie słychać żywych myśli. A to jak czytanie interaktywnej książki.

 – Znaczy się, wzdłuż lewego brzegu – powtarzam i odwiązuję tratwę, podczas gdy Shayla przywiązuje do skob na burtach plecaki i torby.

 Nagle przychodzą mi do głowy pewne wątpliwości i zagrożenia. Bardzo konkretne zagrożenia. Rzucam wiosło na dno i gorączkowo pomagam Shayli w umocowaniu ładunku. Szybkość prądu wzrasta. Zbliżamy się do zakrętu. Porohów jeszcze nie ma, ale woda pod dnem dosłownie kipi. Bezprzyczynowo nabrzmiewają drobne fale. Brzegi pędzą z szybkością autobusu wycieczkowego. Mijamy zakręt… Uch ty! Rzucam spojrzenia w prawo, w lewo...

 – IDZIEMY ŚRODKIEM!!! – wrzeszczę do Shayli, przekrzykując ryk potoku.

 Rozpaczliwie wiosłujemy, kierując tratwę ku środkowi nurtu. W porządku. Nieco hamuję, wyrównując tratwę i wyjmuję wiosło z wody. Pięć sekund do pierwszego grzywacza. Dwumetrowy kipiący wodny guz. Patrzę na Shaylę. Wesoły uśmiech od ucha do ucha, a w oczach zachwyt i zapał. Jasne… Wpadamy w pienisty wał. Nabieramy dwieście litrów wody...

 – Kontruj! – krzyczę, pracując wiosłem ze wszystkich sił.

 Przepływamy drugi wał, nabieramy jeszcze sto litrów, a dalej wały idą jak kępy, co dziesięć metrów, już niestraszne. Niestraszne aż do samego kamienia. Suszę wiosło… No, już czas!

 – Bierzemy! – krzyczę, chociaż Shayla i tak doskonale mnie rozumie.

 Wiosłujemy tak mocno, aż wiosła się uginają. Mijamy kamień z lewej strony, tak blisko, że mógłbym go dotknąć ręką. Czuję nogami, jak tuż pod dnem tratwy przesuwa się następny. I zaraz wpadamy na kolejny. Tratwę obraca. Shayla wiosłuje, a ja kontruję. Tratwa, jak bąk, obraca się o całe 360 stopni – i kamień już za nami. Napieram na wiosło, odpycham się od następnego. Znakomicie! A woda dookoła kipi. Niech sobie kipi!

 – Wiosłuj! – krzyczy Shayla.

 Nie ma czasu się oglądać, wierzę na słowo. Wiosłuję jak szalony. Mimo wszystko tratwa ociera się o kamień i znowu się obraca. Ustawia się dziobem do prądu. Wyrównuję kurs i zachwycam się widokami. Tu jest spokojnie – w sensie: rzeka się zwęziła, jej głębokość wzrosła, a kamienie schowały. I w ogóle teraz nic od nas już nie zależy. Pędzimy jak w samochodzie po kępach. Ściślej: jak w cysternie, w której wozi się żywe ryby. Mamy na pokładzie chyba z tonę wody. Nie chciałbym tutaj znaleźć się na drewnianej tratwie.

 – Trzymaj się! – krzyczy Shayla – Zaraz się zacznie!

 Dobre! A co było do tej pory?

 Naprawdę się zaczęło. Spadamy prawie pionowo z wysokości czterech metrów. Tratwa pogrąża się w głębinie i powoli wypływa jak wieloryb. Dobrze, że jest nadmuchiwana, dobrze, że się nie wywróciła i dobrze, że utrzymaliśmy się na niej. Trzy razy dobrze – to dużo niepotrzebnego ryzyka.

 Porohy za nami. Dopiero teraz czuję, że woda jest zimna jak lód. Shayla zaczyna wylewać ją dłońmi. Ja po prostu przechodzę na rufę i naciskam łokciami na burtę. Dziób się unosi i woda sama wylewa się szeroką strugą. Shayla bierze ze mnie przykład, ale ten trick działa niedługo. Ciekawe uczucie: siedzieć w wannie pośrodku rzeki. Kładziemy się do wody i wypieramy jeszcze ze sto litrów. Koniec, metoda się wyczerpała. Shayla znów wylewa dłońmi.

 – Nie śpiesz się – mówię. – Zmęczysz się.

 – A co robić?

 – Wiosłujmy do brzegu.

 I tu odkrywamy, że wiosło Shayli znikło. Staję w środku tratwy i widzę je – w każdym razie coś podobnego – trzydzieści metrów za nami. Wiosłuję w jego kierunku, Shayla pomaga rękami. Zbyt wolno. Shayla przerzuca się przez burtę i płynie do niego żabką. Udało się – to rzeczywiście nasze wiosło. Jestem zadowolony, ale Shayla prycha lekceważąco:

 – Wielka rzecz! Wystrugalibyśmy sobie nowe.

 Ma rację. Podpływamy do brzegu, schodzimy z tratwy i, stojąc jeszcze w wodzie, wylewamy resztę, przechylając tratwę. Potem wyciągamy ją na kamienie i przewracamy. Shayla włazi pod nią, odwiązuje plecaki i torby, rozkłada je na brzegu. Cała sina, drży, ale zadowolona.

 Oglądam dno. Bądź co bądź cztery razy szorowaliśmy po kamieniach. Dobry metaloplastik – żadnych śladów. Otwieram plecaki – też dobre, nieprzemakalne. A torby – niestety… Wylewam z toreb wodę i wyjmuję nasze kostiumy ze skór łosi. Cuda! Woda ścieka z nich jak z gęsich piór. Potrząsnąłem – i skóry suche. Znakomicie! A myślałem, że już po nich.

 – Shaylo, czym ty je tak przesyciłaś? Łojem?

 – To nie ja, to Szalla. Dopiero teraz zauważyłeś? – Dziwi się. Ach, tak…

 – Dziękuję, cioteczko – mówię, zwracając się do najbliższego krzaka.

 Myślałem, że Shayla znowu się wścieknie, ale ona tylko uśmiechnęła się do mnie. Zdejmuje mokre ubranie, wyżyma i układa na kamieniach. Dobra myśl! Po minucie ja jestem w samych slipach, a Shayla… kompletnie goła.

 – E-e…

 – A ja nie mam co ukrywać przed mężem! Musisz być dumny z mojej figury! A jak możesz być dumny, jeśli ani razu jej nie widziałeś?

 Ba, żeby tu było z czego być dumnym! Sina jak utopiec, cała pokryta gęsią skórką i dzwoni zębami. Pokazuje mi język, macha rękami i nogami, stopniowo rozgrzewa się i różowieje. Zupełnie inna sprawa.

 – Odwróć no się, dziewczynko! Hm-m, wszystko na swoim miejscu. Zadziwiające, ale fakt.

 Oto jaka dostała mi się żona. Całkowicie rozumiem tego malarza, na którego wylała wiadro farby. Ale dziewczynie wypada być skromną. Zwłaszcza dziewczynie ze wschodu.

 – Wiesz, co najbardziej mi się podoba na planetach ze sztuczną biosferą? To, że na nich nie ma komarów! – wypala nagle Shayla. Zamydla mi oczy, gdyż to przecież moja myśl.

 – Idziemy popatrzeć na porohy – proponuję.

 – Idziemy – zgadza się Shayla, wkłada na siebie buty i pas z nożem.

 – Weź jeszcze kuszę – mówię.

 Wdrapujemy się na nadbrzeżną skałę, skąd widać całe porohy. Wyglądają strasznie, zwłaszcza kończący je wodospad. Nakreślam w myśli drogę, którą trzeba było płynąć. Pierwszy grzywacz trzeba było minąć z lewej strony, jak proponowała Shayla. Wtedy nie zaczerpnęlibyśmy tyle wody i tratwa byłaby lżejsza i posłuszniejsza. A dalej to już prawidłowo, zresztą nie ma co tam planować, trzeba tylko zdążać z przesmykiwaniem się między kamieniami.

 – Kir, a co byś zrobił, gdybyś był tu sam i zobaczył porohy?

 – Najpierw przeniósłbym plecaki ii torby po brzegu.

 – A potem?

 – Przecież nie będę taszczył tratwy po lądzie!

 Shayla wpada w gwałtowny zachwyt, przyciska się do mnie i całuje mnie w policzek. Jak zwykle przesadza z wyrażaniem uczuć. Jak zwierzę. Mowgli.

 – Bardzo dobrze trzymałeś się na porohach. Ani trochę się nie przestraszyłeś. Tylko trochę z początku się zdenerwowałeś, a potem całkiem się uspokoiłeś. I nie myśl, że chciałam cię wypróbować. Po prostu koło naszej wioski były podobne i od dziecka marzyłam, żeby się po nich przejechać. Raz nawet zdążyłam spuścić na wodę ponton, ale przyleciała Catherine – to żona Mroka i matka Szalli – wyciągnęła mnie z łódki i zaniosła na brzeg.

 Gdy większość rzeczy podeschła, znów ładujemy wszystko na tratwę i odbijamy. Wspaniale! Nie trzeba wiosłować. Nie planeta, a istne sanatorium. A to niebezpieczne, bo rozluźnia.

 Pod wieczór zbiłem grudką ziemi niezwykłą ważkę. Była bardzo duża i leciała nieprawidłowo. Nie tak, jak zwykłe ważki. Gdy spadła na ziemię, bardzo szybko pobiegła. Złapałem ją za trzepoczące skrzydełka i jedno oderwałem. Błysnął w słońcu malutki metalowy zawias i wtedy otworzyłem ją nożem. Ważka okazała się mikrocyberem, cudem mikromechaniki i elektroniki.

 Shayla miała rację: smoki nie zaprzestały nas obserwować. Nie chciałem jej o tym mówić, ale czy można coś ukryć przed telepatką?

 Miała to być nasza noc poślubna, ale się nie udała. Shayla miała bóle, mówiła, że to wszystko jest zupełnie inaczej, niż myślała na podstawie tego, co podsłuchiwała pod oknami i musimy potrenować, że jestem zupełnie zakompleksiały, myślę o czym innym, i że tak w ogóle, to małżeństwa bez miłości, z wyrachowania, też bywają silne. A ona mnie kocha, tak bardzo, że nawet nie mogę sobie tego wyobrazić. Bo jestem jedynym, który nie ukrywa swoich myśli.

 Tej nocy dowiedziałem się bardzo dużo o swojej żonie i życiu jej wioski. Shayla najpierw robiła doświadczenia. Był serial senso „Przenikający w rozumy”. Shayla zrobiła ekranizację całej wioski. Włożyła na głowę stary hełm sensowizora, wzięła pod pachę przenośny komputer ojca, chodziła po wiosce i wszystkim mówiła, że ten hełm pozwala czytać myśli i o czym oni myślą. Wszyscy najpierw się śmiali, a potem przerażali i skarżyli ojcu. Skończyło się tym, że ojciec publicznie dużym młotkiem rozbił hełm, a Shayla spędziła trzy dni w areszcie domowym. Ale skandal miał ciąg dalszy. Przyleciał wściekły Mrok i powiedział, że skanowanie pamięci na odległość praktykowane jest tylko na Strefie, ale nie wypada WSZYSTKIM o tym wiedzieć, a na dziesięcioletnie dziecko głupio się obrażać. Rodzina Greba pozostanie na planecie, gdyż ona tu się osiedliła jako pierwsza, a pozostali mogą się wynosić do wszystkich diabłów. Choćby nawet na Strefę. On, Mrok, załatwi im to po znajomości. Jeśli już przed tym zdarzeniem miała z sąsiadami nie najlepsze stosunki, to po nim jej życie stało się piekłem. Mrok wbił sobie do głowy, że ona musi więcej bywać wśród ludzi i zaczął wozić ją po miastach. Dla niej te wycieczki były torturą. Ale Shayla od piątego roku życia na wszelki wypadek ukrywała prawdziwą siłę swojego daru i dlatego musiała cierpieć. Zaczęła uciekać do tajgi. Początkowo wywoływało to wiele hałasu, ale stopniowo wszyscy oprócz jej rodziców, przywykli. Ojciec chodził ponury, wyszukiwał jej w Internecie podręczniki przeżycia i wspomnienia podróżników i myśliwych. Ona je czytała. Nie rozmawiała z nim już od dawna, od czasu, gdy kategorycznie odmówił zdjęcia tarczy i zakomunikował, że to nie podlega dyskusji. Matka nie zaprzestawała prób znalezienia wspólnego języka z córką, nawet biegała do niej w tajgę i próbowała tam żyć razem z nią, ale nic dobrego z tego nie wyszło.

 W wieku trzynastu lat Shayla nauczyła się czytać myśli smoków. Dowiedziała się, że jest obiektem doświadczalnym, a pół roku temu zdołała wyłuskać z komputera Mroka całą informację o projekcie stworzenia nowej rozumnej rasy, w tym dużo ciekawych rzeczy o sobie i swoich rodzicach. Dowiedziawszy się o tym myszkowaniu Mrok zaprosił ją na poważną rozmowę i zapytał ją, co zamierza zrobić. Ale z poważnej rozmowy nic nie wyszło. Shayla wściekła się, zachowała się jak idiotka – cytuję jej własne słowa – krzyczała, histeryzowała, obiecywała, że opowie całemu światu, co on z nią zrobił. A potem uciekła w tajgę. Przylatywały do niej smoki, ale zaszyła się w takim gąszczu, że nie mogły się do niej dostać nie robiąc duktu. Latały nad nią i próbowały rozmawiać, ale Shayla nie odpowiadała.

 W tajdze można przeżyć, ale latem, nie zimą, bez zapasów. Nawet wiewiórki robią składy orzechów i suszonych grzybów. W jesieni Shayla wróciła do domu. Jeśli wcześniej czekała, aż będzie pełnoletnia, aby uciec z tej wioski na koniec świata, to teraz rozumiała, że nic z tego nie wyjdzie: smoki jej nie puszczą. Nadzieja umarła, pozostawiając rozpacz i wściekłość zagonionego w kąt zwierzęcia. Podsłuchując myśli smoków, Shayla dowiedziała się, że Lobasti szuka jej męża. Próbowała uciec przez zero-t, lecz kabiny były tak zaprogramowane, że nie odpowiadały na życzenia niepełnoletnich. Na podobną dyskryminację dorośli nie zwracają uwagi, uznając ją za naturalną i nawet korzystną. Dla Shayli cel był jeden: nie wypuszczać jej z planety. Znalazła jednak wyjście. Z domowego cybera-sprzątacza wymontowała blok autonaprawy i podłączyła go do dawno wyrzuconego cybera-remontowca. Po trzech dniach miała osobistego cybera-inwalidę, niezdolnego do samodzielnego przemieszczania się, ale posłusznego. Automaty systemu pilnującego zero-t są głupie. Nie przyjmą rozkazu od niepełnoletniego, ale wykonają rozkaz cybera, nie zwracając uwagi na tego samego niepełnoletniego, stojącego obok.

 Ucieczkę zaplanowała na noc. Nastawiła budzik na czwartą rano, wsunęła go pod poduszkę, położyła się… Ale akurat przyszedł Mrok. A gdy zrozumiała, po co przyszedł, zdążyła tylko schować tarczę. Potem usłyszała cichy szczęk pod drzwiami i obudziła się już w biowannie.

 A ja myślę o tym, że chyba rzeczywiście wplątałem się w walkę ze smokami. Ze strachu robi mi się aż zimno. Nie dlatego, że nie ma szans na zwycięstwo, a dlatego, że to wszystko jest nieprawidłowe. Od dzieciństwa mnie uczyli, że smoki – to najlepsze, najczystsze i najjaśniejsze, co jest w naszym świecie. Niesprzedajne i nieprzekupne. Jeśli sprawy idą zupełnie źle, jeśli nie ma żadnej nadziei – pokładaj nadzieję w smokach. Zapobiegają konfliktom międzynarodowym i wygaszają je. Potrafią rozwikłać każde przestępstwo, nawet najcięższe i najbardziej zagmatwane. Zawsze! Wygaszają epidemie, przywracają sprawiedliwość, ratują i pomagają. I nagle – ja z nimi wojuję! A najgorszy jest nie sam fakt, że z nimi wojuję, ale to, że mam rację. A może nie mam? Nie mam się kogo poradzić, a nawet, gdybym miał, nie wolno mi. To znaczyłoby opowiedzieć ludziom – czyli zabić w nich wiarę w smoki. A tego akurat nie wolno robić. Nawet, jeśli one nie mają racji, nie wolno zabijać w ludziach wiary w sprawiedliwość. Shayla miała rację: nie ma po co wciągać innych w to gówno. Trzeba się ukrywać. A gdzie w takim razie jest sprawiedliwość?

 Nigdy nie zrozumiem kobiet. Wczoraj kręciła się przede mną golutka, a dzisiaj zaczęła się krępować. No i dobrze. Podobno skromność upiększa.

 Ładujemy rzeczy na tratwę i odbijamy od brzegu. Shayla coś nuci bez słów, a ja układam plany. W żaden sposób nie mogę uzmysłowić sobie, że na zawsze zostanę na tej planecie. Jak mawiała moja mama, ani rozsądkiem, ani żołądkiem.

 – Opowiedz coś o smokach – proszę.

 – Po co?

 – No-o… Żeby wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

 – Prawidłowo! Trzeba poznać przeciwnika! – mówi autorytatywnie Shayla. – Słyszałeś, jak Artiom i Szalla w kasynie zerwali bank?

 – Nie.

 – Mieli wtedy po trzy lata i stojąc na tylnych łapach byli o głowę niżsi od przeciętnych ludzi. Lobasti wzięła ich ze sobą do Łacinników. Ona nie przejdzie przez żadne drzwi, a oni przechodzą. Łacinnicy zaczęli oprowadzać ich po różnych wystawach i chwalić się swoimi osiągnięciami, aż zaprowadzili do kasyna. Dorośli ludzie trzyletnie dzieci! Tam smoczki się pokręciły i spodobały im się fiszki – te kolorowe krążki z plastiku, które wygrywający w tym kasynie wymieniali na pieniądze. Dzieci bo dzieci, dały mamie słowo, że nie będą szalały – ale to jednak smoki! Zamieniły między sobą kilka słów i zaczęły wypytywać, co trzeba zrobić, żeby dostać fiszki. Oprowadzający wezwali kierownika kasyna, ten szczegółowo wyjaśnił smoczkom, co to jest ruletka, jak się gra w karty, co się robi z automatami do gry. I zaczęło się! W ciągu dwu-trzech godzin Artiom rozbił bank. Zebrali do kupy wszystkie fiszki i wzięli ze sobą, nie wymieniając ani jednej. Kasyno już tych fiszek nie zobaczyło. Pewnie do dziś się tam zastanawiają, po co smokom były potrzebne fiszki.

 – A po co?

 – Już ci mówiłam. Ułożyły z nich na podłodze mozaikę. Przecież miały wtedy po trzy lata. Cały dzień czołgały się po podłodze, przesuwając kolorowe krążki. Rozłożyły jak chciały, pochwaliły się przed mamą, sfotografowały ze wszystkich stron – i zapomniały o fiszkach na zawsze. Zgrabiły na stos i wepchnęły pod kanapę – bo tak było szybciej niż wyrzucić do kosza. Rozumiesz, czemu ci to opowiadam? Trzyletnim dzieciom spodobały się fiszki. W pięć minut ułożyły plan i wprowadziły go w życie. Tysiące ludzi latami marzą o tym, żeby w kasynie rozbić bank. A one – tak, mimochodem! Smoki!...

 – A jak właściwie udało im się rozbić bank?

 – Oczywiście oszukiwali. No, najpierw próbowali uczciwie. Mają reakcję dziesięć razy szybszą niż ludzie, więc automat do gry, zrobiony dla ludzi, nie nadążał z odliczaniem im fiszek. Ale z automatu sypały się tylko fioletowe, a smoczkom potrzebne były różne. Dlatego Artiom usiadł przy stole z kartami, a Szalla przy ruletce. Oglądałam film, nakręcony przez łacinników. Dzieci – jak to dzieci. Zachwyty, piski. Szalla jak kropla rtęci. Swoje fiszki jedną po drugiej spuszcza w ruletkę i biegnie do Artioma po nowe. Chwyci garstkę – i znowu do ruletki. A Artiom siedzi jak dorosły i wygrywa raz za razem. Jak myślisz, dlaczego? Bo Szalla mu podpowiada. Ma na mordce okulary-komputer, przełączyła je na panoramiczną lornetkę i ze swojego miejsca widzi, kto ma jakie karty. A jak Artiomowi komunikowała, kiedy ma podnosić stawkę? Myślisz, że też przez komputer? Nie. Nigdy w życiu nie zgadniesz. Uszami. Smoki mają uszy długie i bardzo ruchliwe i nimi sygnalizowała. I tak rozbili bank.

 Tak, smoki potrafią dążyć do celu. Pod tym względem nie mogę z nimi konkurować. Ale gdyby wskazać im fałszywy cel?... I niech sobie równymi szeregami idą aż za horyzont. Pomysł? Pomysł! Bo jak nie, to z Niedźwiadkiem będzie zupełnie źle.

 – A mozaika wyszła ładna?

 – Przepiękna! Ale abstrakcyjna. Ojczulek powiedział, że to znakomity surrealizm. Muzyka w kolorach.

 Rzeka wpada do drugiej, a ta niewiele później do trzeciej, pełnowodnej i powolnej. To źle, gdyż możemy nie zdążyć przed wieczorem dopłynąć do osady, oznaczonej na mapie literami „Skł.”. Obok tych liter stoi znak przystani To o czymś świadczy.

 – O czym? – pyta Shayla.

 – O tym, że biosfernicy skończyli planetę i przekazali ją kolonistom.

 – Dlaczego?

 – Biosfernicy pracują z tak ogromnymi ilościami energii, że nie opłaca się im oszczędzać na zero-t. Przesuwają góry, kopią morza, studzą zbyt rozgrzane wnętrza. Tu nie da się stosować zasad ekonomii. A koloniści to sknery. Dziesięć razy pomyślą, co tańsze: wysyłać ładunki przez zero-t czy ekranolotem. I stąd przystań.

 – A co to jest „Skł.”?

 – Nie wiem. Ale ty przecież czytasz myśli, więc po co pytasz?

 – Czytam to, o czym aktualnie myślisz. Gdy pytam, odpowiedź wyskakuje w twojej pamięci. Zobaczyłeś znak przystani i ucieszyłeś się. Ale nie pomyślałeś, co konkretnie cię w tym ucieszyło i musiałam zadać ci naprowadzające pytanie. A w ogóle myślisz bardzo silnie.

 – W jakim sensie? Głośno?

 – Nie. Jak by to… Uparcie. Nie uspokajasz się, dopóki nie znajdziesz odpowiedzi.

 „Rozumie się!”.

 – Głuptasie. Nikt nie zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale ty ich szukasz.

 – Ale nie znajduję.

 – Bo się rozpraszasz. Z jednego przeskakujesz na drugie, potem na trzecie No i zapominasz, od czego zacząłeś.

 – Taki roztargniony…

 – Kir, ty mnie zupełnie nie słuchasz! Albo nie chcesz rozumieć. Mówię o tych chwilach, kiedy odpoczywasz. To nieważne, że przeskakujesz z jednego na drugie. MYŚLISZ! Inni potrafią w ogóle nie myśleć.

 – Niemożliwe!

 – Wierz mi. Albo plują mi w duszę tak, że nawet słońce wydaje mi się od tego czarne. Przecież nie jestem z żelaza! Cierpię i cierpię, ale od czasu do czasu „pieszczę” ich „ciepłymi” słówkami, żeby się czuli równie podle jak ja! Przecież wiem, kogo jak najboleśniej uderzyć.

 – Ale powinnaś ich rozumieć. O człowieku trzeba sądzić po czynach.

 – Kogut uczył kota, jak łapać myszy!

 – To nie jest śmieszne. Zrozumieć to znaczy wybaczyć.

 – Co w tym śmiesznego?... Zresztą mam ich w nosie! Niech sobie żyją Nic mi od nich nie trzeba. Tylko niech nie udają dobrych. Mówią nie to, co myślą a robią nie to, co mówią. Żebyś wiedział, jakie łajdaki zebrały się u nas! Za same myśli należałoby ich zesłać na Strefę!

 – No tak, czytałem w książce. Człowiek myśli jedno, mówi drugie, a robi trzecie. Ale trzeba go brać, jakim jest, i sądzić po czynach, nie po myślach. Myśli to jego własność osobista.

 – Teoretyk! Postaw się na moim miejscu!

 – Nie przerywaj. Myślisz może, że dawni ludzie byli inni? Twórcy arcydzieł? Byli dokładnie tacy sami. Wiesz, kim był genialny poeta François Villon? Złodziejem, kobieciarzem i szubienicznikiem. A muzyk Czajkowski, autor „Jeziora łabędziego”? Pederastą. A Puszkin…

 – Po co wylewasz na wszystkich pomyje? To przykre.

 – A Mrokowi nie jest przykro? Dziesięć razy bardziej niż tobie. No, pomylił się. Źle dobrał ci towarzystwo. Ale chciał z człowieka usunąć kłamstwo. By ludzie nie mogli się wzajemnie okłamywać. A jeśli ci przykro słuchać, co o tobie myślą, noś medalion. Po to go zrobiono.

 – Ja to wszystko rozumiem – odpowiada cicho Shayla. – Ale już za późno, żebym się zmieniła.Wychowali mnie na ścierwo i umrę jako ścierwo. Jeszcze napsuję ci krwi. Gdybym spotkała wcześniej choć jednego takiego jak ty… Kir, nie gniewaj się, proszę. Dziś już jestem zahartowana… Ale to kwestia sprawiedliwości. Wszystko robiłam uczciwie. Mówiłam im to, co od nich usłyszałam. To takie przyzwyczajenie, od dzieciństwa. Pamiętasz, jak na przełęczy się sklęłam? To nie dlatego, żebym źle o tobie myślała, po prostu przywykłam tak mówić. Słyszę prawdę – i mówię prawdę. To świat jest taki łajdacki, że prawdę mogę mówić tylko tobie… I żałować mnie też nie trzeba, rozumiesz?! Oj, bo zaraz mnie rozniesie! Powiosłujmy, dobrze? Żeby ze mnie całe ścierwo poszło w pracę. Zakład, że pokonam cię w wiosłowaniu!

 Podaję jej wiosło i z drugim w ręce przyklękam na jedno kolano, jak w sportowej kanadyjce. Myślisz, że mnie pokonasz? Przedszkole przeciw kosmodesantowcowi!

 – Myśliwi z tajgi przeciw cherlakom z nieważkości!

 – No to na trzy! Raz, dwa, i-i…

 Osadę zobaczyliśmy z daleka. Ściślej: nie samą osadę, tylko jakiś dwupiętrowy budynek, na dachu którego w przeźroczystej kuli z krystalitu widać było talerzyk anteny. Talerzyk skierowany był w naszym kierunku, co bardzo mi się nie podobało.

 „Smoki umieją czytać myśli?” – pytam bez słów.

 – Wielki Smok umie, Szkodniczki podobno też, a inne smoki – nie wiem…

 „A przez anteny, z takiej odległości?” – pytam dalej, znowu w myśli.

 – Raczej nie, ale nie mam pewności. Po nich można spodziewać się wszystkiego.

 – To źle - mówię i sięgam do kieszonki plecaka po medalion.

 – Kir – prosi żałośnie Shayla. – A może nie trzeba, co?

 – Trzeba, Shaylo, trzeba.

 Shayla znów się wścieka, ale w milczeniu .Wpatruje się w antenę tak, jakby miała ją spopielić spojrzeniem. Jeśli one naprawdę czytają myśli… Trzeba to będzie zrobić.

 – Kir, zaraz umrę ze smutku. I z tego powodu będzie cię gryzło sumienie.

 – Dlaczego?

 – Bo ty takie historie opowiadasz. Lepsze od książek.

 – Kiedy opowiadam?

 – No… Przez cały czas, gdy nic nie robisz. A ja mam je opuścić przez jakiś tam talerzyk? Co? Czym się tam chociaż skończyło?

 Zaraz, o czym to ja przed chwilą myślałem? Aha! Wspominałem, jak wspólnie z Tolanem zabraliśmy flyer wujkowi Victorowi. A ona podsłuchiwała… Och, mamma mia!!!

 – Źle się skończyło. Moja pupa i rzemień ojca wstąpiły w kontakt ze sobą w celach wychowawczych.

 Bierzemy się za wiosła i przybijamy do przystani. To szeroka betonowa droga, schodząca pod wodę, przeznaczona dla ekranolotów i statków na poduszce antygrawitacyjnej lub powietrznej. Wyciągamy tratwę na brzeg, rozkładamy wózek i ładujemy na niego plecaki i torby. Shayla podnosi tratwę nad głowę, ale wiatr zdmuchuje ją do przydrożnego rowu. Rozlega się wściekły ryk i tratwa dostaje niezasłużonego kopniaka. Jednym końcem przymocowujemy ją do wózka, drugi koniec niesie Shayla. Tak maszerujemy w kierunku domów spychani przez mocny przeciwny wiatr. Talerzyk po staremu patrzy na rzekę. Czyżbym się pomylił? Jeśli tak, będzie bardzo dobrze.

 Shaylę wyprawiam poszukać nam mieszkanie, a sam oglądam warsztaty i laboratoria. „Skł.” na mapie to skład albo składy – mogłem sam się domyśleć. Naprawdę nam się udało, że najbliższy niedawno zamieszkały punkt okazał się składem.

 A może nie najbliższy? Najbliższy według mapy, ale mapę dały nam smoki… Hm…

 Idę do budynku z talerzem na dachu. Znajduję dyspozytornię. Włączam komputer. Nie działa. Zaraza! Włączam drugi, przełączam na kierowanie głosem – szybsze niż szukanie plików.

 – Pokaż mapę. – Znakomicie! Ani haseł, ani kluczy. Informacja ogólnodostępna. – Pokaż zamieszkałe punkty.

 Gdy wyłączam komputer, z lekka drżą mi ręce. Tak, smoki nas PROWADZIŁY. Były bliższe osady, ale smoki przywiodły nas tutaj. Tu są składy, tu żarcia wystarczy nam na dwieście lat.. Może nawet sami wybralibyśmy tą osadę, ale smoki nie dały nam wyboru! Manipulowały nami. Czyżby dotąd nie zrozumiały, że kosmodesantowiec to nie cyber? Nie wolno mną manipulować! Można się umówić, ale nie kierować! Shaylo, biedactwo, jak ty wcześniej żyłaś?

 Późnym wieczorem Shayla znajduje mnie w montażowni. Urządzenie nie jest aż tak skomplikowane, ale wszystko muszę robić własnymi rękami. Nic nie mogę powierzyć cyberom. Gdybym miał pewność, że podporządkowują się tylko mnie…

 Shayla patrzy jakiś czas, jak układam schemat, obliczając parametry detali wprost z marszu na kieszonkowym komputerze, grzebię w plikach podręczników, potem na półkach, cierpliwie przylutowuję, parząc się i klnąc, potem zaraz sprawdzam oscyloskopem robocze parametry. Całuje mnie w ucho i odchodzi. Pocałunek na jakiś czas wybija mnie z rytmu. Jak się okazuje, moja jedyna i kochana potrafi być czuła. Nie, jeszcze nie potrafi, ale się uczy… Później, wszystko później. Teraz trzeba zdążyć, zanim smoki zorientują się, co ja robię.

 Wraca Shayla z tacą w rękach. Razem z nią do montażowni wlatuje gruba furkocząca ważka. Nakrywam schematy i zaczętą konstrukcję arkuszami papieru i widzę, jak ważka sadowi się na kloszu lampy nade mną. Cholera!

 – Co z nią zrobisz? – pyta Shayla.

 – Widziałaś w korytarzu głównego budynku skrzynkę z bronią? Przynieś stamtąd laser.

 – Tam jest zamek cyfrowy.

 – Wybierz sześć pierwszych cyfr liczby π, jeśli nie pomoże ε, a jak i to nie pomoże 537624.

 Shayla wybiega. Ważka zaraz zrywa się z klosza i leci ku drzwiom, ale nie zdąża. Odbija się od drzwi i spada na podłogę. Wzlatuje i siada na stole przede mną. Wypijam kompot i nakrywam ważkę szklanką. Skrzydła się nie mieszczą, ale ona posłusznie unosi je do góry. Jasne, że gdy uderzyła w drzwi, była sterowana ręcznie, nie zdołała uciec i poddała się. Pewnie przy pulpicie znowu siedzi Szalla. Co oznacza taki akt bezwarunkowej kapitulacji? Chyba to, że mikro-szpiedzy są towarem deficytowym i smoki chcą ważkę zachować.

 Ale nie pozwólmy się oszukiwać. Dzisiaj może i są deficytowe, ale jutro czy pojutrze wejdą do taśmowej produkcji i przylecą tu tysiącami, jak szarańcza.

 Przesuwam szklankę po stole – ważka posłusznie przebiera łapkami – i biorę się do zupy, póki zupełnie nie ostygła. Wbiega zachwycona Shayla, z jedną kaburą u boku i drugą w ręce.

 – Kir! Pięć trzy siedem sześć dwa cztery! Skąd wiedziałeś?

 – Ten kod wstawiają w zamki przy produkcji. Ludzie są leniwi.

 – Teraz żaden smok tu się nie pojawi! A gdzie ważka? – szuka oczami po suficie.

 – Oto ona. – Wskazuję szklankę. Shayla jest bezgranicznie zachwycona.

 – Co chcesz z nią teraz zrobić?

 – Wyrzucić.

 – Może ja ją trzepnę?

 – Jak chcesz.

 Shayla ostrożnie, żeby nie wypuścić jeńca, przesuwa szklankę na tacę i idzie ku drzwiom.

 – Stój! A ty umiesz strzelać?

 – Zaraz się nauczę.

 O mój ty Boże! Spali pół osady. Instruuję szczegółowo, każę kilka razy powtórzyć i wypuszczam, żeby dokonała zabójstwa. Drugie danie oczywiście przez ten czas wystygło.

 Po chwili Shayla wraca zadowolona, ze stopioną bryłką w dłoniach.

 – Pierwszym wystrzałem zbiłam szklankę. Ona chciała uciec, więc ja ją szerokim promieniem o pełnej mocy – komunikuje. Unoszę brwi.

 – Domy wszystkie całe?

 – No… prawie. – Uśmiecha się zmieszana. – Ale nie klnij, ja już wiem, co to takiego.

 Wychodzimy na ulicę. Na ścianie domu naprzeciw szeroki stopiony pas w kształcie przecinka. Plastbeton zastyga soplami. Rzeczywiście nic strasznego. Gdyby dom był drewniany…

 – Jesteś najmądrzejszy, najmilszy! – szepcze Shayla. – Żebyś ty wiedział, jak ja ciebie kocham! Jeśli coś ci się stanie, nie przeżyję ani dnia! Dla ciebie chcę zrobić coś takiego! Takiego! Takiego! Chcę wejść na dach i polecieć! Ja, ty i błękitne niebo! I słońce! A w dali morze.

 – Niedźwiadku, my już raz lecieliśmy. Ja, ty i błękitne niebo. I tam było wyżej niż z dachu.

 – Ty byś tylko żartował! – Dostaję po głowie poduszką. – A ja tak się cieszę, jestem taka szczęśliwa! –Shayla kręci głową, żeby jej włosy chlastały mnie po piersi. – Umiesz śpiewać? Chcę się nauczyć śpiewać!

 – I latać?

 – I latać!

 – I pływać jak ryba?

 – Z akwalungiem! Nauczysz mnie pływać z akwalungiem?

 – Do morza stąd trzysta kilometrów.

 – Ale tu jest flyer. Naucz mnie prowadzić flyer.

 – Zaraz teraz?

 – Zaraz teraz.

 – Dobrze. – Układam się wygodniej. Shayla kładzie podbródek na mojej piersi. – Najważniejsze to wsiąść do kabiny i przypiąć się. Potem trzeba włączyć autopilota. A potem?

 – Powiedzieć mu „Le-eć!”.

 – A właśnie że nie. Trzeba powiedzieć „Komunikuj o stanie pojazdu”. – Oboje siadamy. –Zapamiętaj: nie jesteśmy na Ziemi, tylko na Pograniczu. Wszystkie blokady są zdjęte albo zneutralizowane. Jeśli każesz flyerowi lecieć, poleci nawet bez silnika. Dlatego zawsze pytaj, czy wszystko w porządku. Jeśli coś nie tak –wyłaź i szukaj innego transportu. Rozumiesz?

 – Przestań mną trząść, bo głowa mi odpadnie. Kir, no coś ty taki?! Zapytam go na pewno. Daję ci słowo honoru!

 Puszczam ją i znowu się kładziemy. Głupio mi się wyrwało. Ech, Tolan, że też mnie wciągnąłeś w uprowadzenie tamtego flyera… Trzy wzloty, dwa lądowania…

 – Kir, nie możesz choćby na minutkę zdjąć tarczę?

 – Jurto albo pojutrze

 – No chociaż na sekundeczkę.

 – Żona kosmodesantowca musi być cierpliwa i posłuszna.

 – Będę najlepszą żoną świata! Zobaczysz!

 – Jak zobaczę, jeśli w tym świecie nie będzie nikogo innego?

Shayla zamyśla się nad tym problemem. Ja także. Zakochała się we mnie całą duszą, całym żarem młodości. A ja? Mogę zaproponować jej tylko przyjaźń i seks. Wie o tym, i to ją zadowala. Mężu, nie popadaj w kompleksy.

 Pracuję prawie bez przerwy, a Shayla zagospodarowuje naszą norkę. Najpierw triumfalnie pochowaliśmy mumię kota. Musiałem przy tym być i wygłosić „mowę pogrzebową”. Potem wynosiliśmy z domu „cienie zapomnianych przodków”, czyli wszystkie rzeczy poprzednich gospodarzy i wszystkie meble, które Shayli się nie podobały. Gdy wyglądająca na monolit szafa rozpadła się na sekcje i jedna z nich mocno uderzyła mnie w kolano, wściekłem się. Poszedłem do piwnicy i aktywowałem cztery cybery, po czym zdemobilizowałem się, albo, jak to określiła Shayla, zdezerterowałem i wróciłem do niedokończonego urządzenia. Zagniewana Shayla szpera po całej osadzie i wszystko, co jej się spodoba, ściąga do naszego domu. Pierwszym przedmiotem była skrzynia z bronią, ważąca, bagatela, 420 kilogramów.

 Wioska zresztą nie wygląda na jakąś BARDZO zapuszczoną. Mieszkańcy porządnie rozgrzebali całą ziemię w promieniu kilometra. Widocznie budowali podziemne składy metodą odkrywkową. Wykopali doły, zbudowali w nich betonowe pudła składów, wypełnili je niezliczonymi półkami i kontenerami, przysypali to wszystko ziemią, ale nie zdążyli wyrównać i zazielenić. W rezultacie upiększają pejzaż cztery piramidki, dopiero zaczynające obrastać miejscową trawą sałatkowego koloru. Pomniki mieszkańców w stylu Cheopsa.

 Kończę strojenie pierwszego detektora. Gotowe! Pójdę, ucieszę dziewczynkę. Jednak to głupio: własnoręcznie zrywać ostatnie nici łączności z wielkim światem.

 Shayla siedzi na podłodze i ze smutkiem ogląda górę rzeczy.

 – Coś nie tak? – pytam.

 – Jarmark – odpowiada i kopie poduszkę. – Mieszanina bez stylu.

 Żeby nie objaśniać głośno, zdejmuję tarczę i kładę na szafkę nocną. Shayla piszczy z zachwytu, chwyta mnie za rękę i ciągnie na ulicę. Biegniemy sportowym tempem aż do samego lasu – tak niecierpliwie chce wypróbować detektor. Wkłada nauszniki, włącza urządzenie dziesięć minut wodzi anteną tu i tam. Potem wyjmuje laser i zaczyna się strzelanina. Zabite: cztery ptaszki, dwie ważki, dwie myszki i jeż. Las, który zaczął się palić, gaszę za pomocą celnych kolapsujących wystrzałów pełnej mocy. To, co jeszcze się tli, gaszę tak, jak dzieciaki gaszą ognisko. Shayla odwraca się delikatnie.

 – Koniec – mówi. – Czysto.

 Oglądam „trupki”. Z drobiazgu mało co zostało, ale „jeż” zachował się całkiem nieźle. Prosta i niezawodna mechanika, dwuprocesorowy obwód łączności. I to wszystko bardzo podobne do miejscowego jeża. Było podobne

 – Jutro oczyścimy z tego diabelstwa całą wioskę! – cieszy się Shayla.

 – Dobrze, ale ja będę czyścił!

 – Dlaczego?

 – Bo możesz wystrzelać niewinne i potrzebne nam cybery.

 – Kir, a z jakiej odległości twój detektor czuje elektronikę?

 – Nie wiem. Jeżyka trzepnęłaś z dwudziestu metrów.

 Wracamy do wioski. Shayla obraca na wszystkie strony anteną detektora.

 – Jutro wszystkie zginą – mamrocze radośnie. – Kir, jesteś naprawdę genialny! Wstawiłeś wentyl samym smokom! Nawet nie sądziłam, że to możliwe! Teraz na pewno zwyciężymy!

 Zwyciężymy. Jeśli smoki będą grały w warcaby na wybitkę. My – w wojnę, smoki – w warcaby. Wszyscy w swoim fachu. Dobre!

 Shayla do obiadu chodzi po osadzie z detektorem i wybija całą szpiegowską elektronikę. Dzisiaj nie ma jej tak dużo: trzy myszki i dwa ptaszki. Wątpliwe, czy smoki, posiadając tak dobrze zamaskowanych ruchomych informatorów, stosowały także stacjonarne. Pozostają cybery: montażowe, remontowe, uliczne, bytowe. Shayla nie strzela do nich na moją myślową prośbę. Każdy cyber może być szpiegiem smoków, możemy jednak je wszystkie wyłączyć, a smoki nie włączą ich ponownie, gdyż byłoby to naruszeniem niepisanych zasad gry.

 – Lecimy nad morze – proponuję. Shayla z radosnym piskiem rzuca mi się na szyję. Idziemy do składu i wybieramy płetwy, maski, noże w pochwach, które przypinamy do goleni. Shayla chce wziąć akwalung, ale zatrzymuję ją: – Będziesz to pół dnia sprawdzać i nabijać.

 Akwalung, już wyjęty ze skrzyni, zostaje na podłodze. Biegniemy na wyścigi do hangaru. Flyer jest mały, czteroosobowy. W czasie, gdy ja sprawdzam rezerwy awaryjne, Shayla szeroko otwiera wrota hangaru i gdzieś odbiega. Uruchamiam procedurę diagnostyczną i wyprowadzam flyer na podwórze. Shayla po chwili wraca z koszykiem pełnym jedzenia i broni oraz mapą zamiast serwety na wierzchu. Umieszcza go na tylnym siedzeniu, sama siada z przodu. Zajmuję miejsce pilota. Flyer komunikuje, że diagnostykę zakończono pomyślnie.

 – Lecimy? – pyta Shayla.

 – Lecimy! – odpowiadam, z miejsca startuję ostro w górę i robię piękny zakręt.

 Wchodzę na kurs. Shayla przylepia nos do przedniej szyby. Dla niej schodzę na dwadzieścia metrów i z wielką szybkością lecę nad lasem. Mnie samemu aż dech zapiera. Las się kończy, pod nami rzeka. Nieco zmieniam kurs, schodzę jeszcze niżej i lecę tuż nad wodą, powtarzając płynnymi wirażami wszystkie zakręty koryta z nieprawdopodobną szybkością. Shayla krzyczy z zachwytu. Nikt w szkole nie pozwalał nam latać tak szybko i tak nisko.

 Po dwudziestu minutach szybko zwiększam wysokość i jeszcze przyśpieszam. Na horyzoncie widać już morze. Wysokościomierz pokazuje jedenaście kilometrów, szybkościomierz siedemset. Dobra maszyna. Wnętrze luksusowe, ale reszta nie gorsza niż u flyerów desantu.

 – Kir, skręć w prawo! W prawo! Ląduj o tam, na piaseczku!

 – Jak pani sobie życzy, madame! – odpowiadam i kładę maszynę w zakręt ze zniżeniem.

 Kilka razy przelatujemy nad plażą i okolicami, coraz niżej. Drapieżników nie widać ani na lądzie, ani w wodzie. Włączam podczerwony lokalizator i jeszcze dwa razy powoli przelatuję na stu metrach. Nic większego od zajęcy, które też zresztą uciekają. Co prawda, mój wyszukiwacz nie rejestruje węży. Shayla kiwa głową, przyjmując to do wiadomości.

 Ląduję, wynoszę koszyk. Cholera, ciężki!

 – Dobra żona musi troszczyć się o żołądek męża – komunikuje z dumą Shayla.

 – A o figurę nie?

 – Jeśli utyjesz, przez jakiś czas będę złą żona.

 Prowadzę ją po brzegu, aż flyer znika za wydmą – to też część mojego planu. Shayla na wszelki wypadek sprawdza horyzont lokatorem i mruga porozumiewawczo do mnie.

 – Najpierw się wykąpiemy, potem będziemy rozmawiali – mówię surowo.

 – Yes, sir! – Shayla już się rozbiera.

 Po minucie ma już na sobie tylko płetwy, maskę, pas z pistoletem i nóż przypięty do nogi – trudno to nazwać ubraniem. Pokazuje mi język i na szeroko rozstawionych nogach człapie jak żaba do pasu przyboju. Ziemnowodna amazonka! Doganiam ją i pierwszy rzucam się do wody. Dopiero tu wkładam płetwy, gdyż na lądzie nabrałyby piasku. Woda strasznie zimna, ale tylko w pierwszej chwili. Nurkuję i kładę się na dnie na głębokości czterech metrów. Nade mną pływa Shayla. Najpierw radośnie obraca się w wodzie, potem z przerażeniem patrzy na mnie. Chce mi się oddychać, więc odbijam się od dna i jak strzała mknę do góry. Żona zaczyna robić mi wymówki:

 – Leżałeś na dnie ponad dwie minuty. Wykonałam w tym czasie trzy oddechy. Utoniesz, i zostanę sama! Nie rób tak więcej.

 – Moja droga, ja w lepszych czasach potrafiłem leżeć na dnie po trzy minuty!

 – Wtedy byłeś nikomu niepotrzebnym kawalerem. A teraz jesteś mój! Najwyżej półtorej minuty.

 – Dwie i pół!

 – No dobrze, dwie. Ale ani sekundy więcej.

 – Ale ja nie mam zegarka.

 – Głuptasku! Ja tak się boję u ciebie!

 Całowanie się w wodzie jest dość skomplikowane – chodzi o to, żeby się jej nie napić, zwłaszcza słonej. W sensofilmach pewnie albo robią montaż, albo aktorzy są bardzo wytrenowani. Dlatego my po prostu wypływamy na płytkie miejsce. A potem ta bezwstydnica ściąga ze mnie pływki. Z rykiem zarzucam ją na ramię, wynoszę na brzeg, spuszczam na gorący piasek…Reszta nie jest dla was ciekawa.

 – … Stworzymy własną cywilizację. Cywilizację telepatów. To samo, o czym myślały smoki, ale bez smoków i bez innych ludzi. Zgadzasz się? Zwykłych ludzi, poza mną, tu nie ma, więc nasi potomkowie będą od początku żyli w środowisku podobnych do siebie. Nie będzie przypadków podobnych do ciebie. Zgadzasz się?

 – Co tak powtarzasz w kółko? Zgadzam się na wszystko, co powiesz. Tylko najpierw pożyjmy ze cztery lata tak po prostu, dla siebie. Zaczniemy rodzić cywilizację, kiedy skończę dwadzieścia lat. Nawet, jeśli smoki jeszcze nas obserwują, do tego czasu im się to znudzi.

 – Nie musisz nawet wszystkich rodzić sama. Powinno tu być centrum medyczne z aparaturą do klonowania i wszelkimi inkubatorami. Potrzebna będzie tylko twoja komórka jajowa.

 – Nie wiem… W takich sprawach nie dowierzam maszynom – przyznaje Shayla. – Ale jeśli nalegasz… Jeśli będziesz przy mnie…

 Wchłonąłem pełną piersią cały przytłaczający ciężar jej czułości – jakby wskoczyło mi na nią puszyste kocię. Właśnie wtedy zrozumiałem w pełni swoją żonę, a później ona to potwierdziła. Shayla nadrabiała dzieciństwo, które przemknęło koło niej, łapała je za ogon. Odrzuciła wszystkie zakazy i żyła pełnią życia.

 Tylko każdy wie, że cztery lata od szesnastego do dwudziestego roku życia trwają o wiele krócej niż od czwartego do ósmego…

 – A ty na pewno dasz radę wyrzucić wszystkich Mrokobiesów z naszego continuum?

 – Słowo kosmodesantowca! W ogóle nie rozumiem, po kiego diabła oni nas tu jeszcze obserwują. Ale bądź pewna: ich samych tu teraz nie ma, siedzą u siebie w domu. Tu mają tylko zero-komory, środki łączności i pewnie cybery. Wykryjemy i zniszczymy najpierw wszystkie zero-komory, a potem zero-przekaźniki i zero-retranslatory.

 – I wtedy smoki nie będą mogły tu trafić!

 – No-o… Jeśli zechcą, będą mogły. Ale damy im jasno do zrozumienia, jaki jest nasz stosunek do tych wizyt. Nie wlezą tutaj.

 – Nie znasz Mroka – oburza się Shayla – On – wlezie.

 – Po co?

 – Skąd mam wiedzieć? Ale wlezie.

 – Wlezie tylko w jednym przypadku: jeśli nie uwierzy w nasz spektakl.

 – Nie znasz Mroka – powtarza ze złością Shayla.

 – Jeśli wlezie. połamię mu rogi.

 – Jak? – pyta Shayla ze zdumieniem. Rzeczywiście: jak?

 – Tu zupełnie niedawno terraformowali. A Szalla dopiero co kierowała klimatem. Wiesz, jaką moc mają te urządzenia? Niewyobrażalnie wielką. Możemy nimi przesuwać góry – w dosłownym sensie. Czy nie pokonamy jednego smoka? Zresztą słuchaj! Dopóki nie mamy dzieci, smoki nie mają po co do nas się mieszać. Jeśli one w ogóle czegoś się boją, to tylko tego, żeby twoje dzieci nie odziedziczyły wszystkich talentów Wszechmogącego. To znaczy, że mamy cztery lata wolności. Przez ten czas smokom na pewno znudzi się podglądanie nas, a my planetę zamienimy w twierdzę! Żaden smok nie odważy się tu zjawić!

 Shayla obmyśla wszystko i… pociąga nosem.

 – Coś ty, Niedźwiadku?

 – Nigdy nie wrócisz do domu. Przeze mnie… – Dwa strumienie łez. – A ja tak chcę, żebyś był szczęśliwy. Jak ja. .. U-u-u… Zepsułam ci życie…

 Właśnie w takich chwilach żałuję, że moja żona jest telepatką.

 – Kto ci powiedział, że zepsułaś? Spójrz na mnie, Niedźwiadku. Rodziców nikt nie wybiera, ale los każdy wybiera sam. Przestań wydzielać słoną ciecz. Jesteśmy na pikniku czy nie?

 – Już, zaraz – Shayla pociąga nosem, ale płacz stopniowo zanika.

 Rozkłada na piasku mapę zamiast obrusa, wyjmuje jedzenie. Zaglądam do koszyka. Uch ty!

 – To na wszelki wypadek – wyjaśnia Shayla. – A nuż flyer się zepsuje i będziemy musieli wracać do domu piechotą? W tajdze trzeba być gotowym na wszystko.

 Moja żona jest naprawdę zdumiewająca! To, co dla mnie jest tylko punktem z podręcznika szkoły przeżycia, dla niej jest po prostu życiem.

 Shayla sapie mi w pachę. Dopiero teraz dotarło do mnie, w co się wpakowałem. Dotarło aż do serca. Wypowiedziałem wojnę smokom. Własnoręcznie zrywam nitki, łączące mnie z ojczystym światem. Smoki na pewno już zakomunikowały moim rodzicom, że zginąłem.

 Chociaż mogły i nie zakomunikować. Równie dobrze mogły zdublować szalandę wraz ze mną. I teraz ten drugi ja, spokojny i nic nie podejrzewający, zalicza szkołę przeżycia. A potem wróci do domu, przewietrzony i opalony. Przyjaciele będą go pozdrawiali, klepali po plecach, pytali, jak było. A on – odpowiadać, że nic groźnego. To nie Pandora, to planeta-sanatorium. Największą przygodą była burza w nocy, nie ma o czym opowiadać.

 Czy coś takiego jest możliwe? Oczywiście, że tak. Ale nie wszystko może wyjaśnić. Na przykład, jeśli po tamtym świecie chodzi mój dublet, to smoki muszą bać się, że zdołam tam wrócić przez zero-t. Dwaj ja – to nonsens, to skandal, to kompletna klapa! Gorsze od wybuchu supernowej. A jeśli opowiem wszystko, co wiem? Doświadczenia eugeniczne, tworzenie nowej rasy ludzkiej. Polecą głowy i poleje się krew. I to nie w przenośni, a dosłownie. Lepiej się ubezpieczyć i trzepnąć nas oboje.

 Wnioski:

1. Smoki nie będą nam przeszkadzały w niszczeniu zero-komór.
2. Należy na jakiś czas odłożyć likwidację cyberów-informatorów. Jeśli smoki nie będą wiedziały, co robimy, mogą spanikować i mimowolnie nas kropnąć.
3. Przez roboty-informatorów należy poinformować smoki o części naszych planów. A potem dokładnie ją realizować przez trzy lata, póki nie znudzi im się nas szpiegować.

 Ale jeśli smoki zajęły się eugeniką, to czyżby ludzkość naprawdę była ślepą odnogą? I dlaczego nie zajął się tym Wielki Smok, tylko jakiś Mrok? A czym teraz zajmuje się Wielki Smok? Sterczy na planecie dinozaurów! A czym się zajmował wcześniej? Cyborgami! Zrobił trzy w pełni rozumne: matkę Shayli i Szkodniczki. Czyli: Wielki Smok, który respektuje umowny kodeks, zajął się cyborgami i wprawdzie nie poniósł porażki, ale i nie osiągnął specjalnych sukcesów. I wtedy Mrok, który nie respektuje umownego kodeksu, zajął się eugeniką. Wniosek: sprawa śmierdzi. Zresztą od dawna już o tym wiem, słyszałem, choć nie zwracałem na to uwagi. Zaraz, a kryzys socjalny u Łacinników? Był? Był. Dwadzieścia kilka lat temu, kiedy mnie jeszcze na świecie nie było, wywołał u nas wiele szumu. Czyżby i nam groziło coś podobnego? Może. Ale nie mnie decydować o podobnych sprawach.

 Rano Shayla mnie budzi. Przekazuję jej myślowo swoje nocne rozważania.

 – Aleś ty mądry! – zachwyca się – U was w desancie wszyscy są tacy mądrzy?

 – Według IQ jestem wśród nich w środku.

 – Niesamowite.

 Robi śniadanie. Jedząc odkrywamy detektorem szpiega-myszkę. Można omówić plan.

 – Zaraz ją trzepnę. – Shayla wyjmuje z kabury laser.

 – Spalisz dom.

 – Choler-ra! – mówi wściekle Shayla i usuwa broń. Rozmowa specjalnie dla myszki.

 – Dzisiaj znajdę w komputerze współrzędne komór zero-t – mówię – a od jutra będziemy na flyerze oblatywali je i niszczyli.

 – Przy niej to mówisz?! – Shayla udaje, że się oburza – Przecież ona podsłuchuje i doniesie o wszystkim smokom.

 – Gwiżdżę na smoki! Ten świat jest nasz! Zrobimy z nim, co chcemy. A jak się tu wepchają, wystrzelamy je jak psy!

 Po śniadaniu Shayla wybiera się obejrzeć najbliższy las. Przypominam jej, żeby wzięła broń i radiostację, a sam siadam do komputera.

 Pół godziny później odwracam się, słysząc dziwne, jakby uprzejme, skrobanie. Na podłodze znajoma myszka. Siedzi jak pies, a w małej łapce trzyma miniaturową białą flagę i kiwa nią na mnie. To znaczy, że zapraszają mnie do stołu negocjacyjnego. Ciekawe…

 Idę za myszką. Na ganku spotykam jeża. Ziemskiego, nie sekondyjskiego. Myszka nurkuje pod niego i znika. Jeż mówi głębokim kontraltem:

 – Kir, musimy porozmawiać.

 – Słucham.

 – Nie tak, a naprawdę. Twarzą w twarz. Jestem tu, niedaleko. Trzy kilometry stąd.

 – Jesteś smokiem?

 – Tak. Nazywam się Catherine i jestem żoną Mroka. Nazywacie nas Mrokobiesami.

 – Będę rozmawiał z samym Mrokiem.

 – Nie ma go tutaj. Jest teraz bardzo zajęty. Ale on usłyszy naszą rozmowę i wypełni wszelkie zobowiązania, złożone przeze mnie. Słowo smoka.

 Przez chwilę rozmyślam, kręcąc na palcu pistolet. Co wiem o Catherine? Że jest żoną Mroka i wyciągnęła Shaylę z pontonu, kiedy ta chciała spłynąć po porohach. Koniec. Może to pułapka? Niby możliwe, ale bez sensu. Uprzedzić przez radio Shaylę? A co zrobi Shayla? Wyjmie laser i palnie pełną mocą. Potrzebny nam spalony smok? Nie. Wtedy dopiero zacznie się prawdziwa wojna!

 – Gdzie jesteś?

 – Jeżyk wskaże ci drogę.

 Jeżyk odwraca się i szybko drepcze w kierunku lasu. Ja za nim. Przechodzę na bieg rozgrzewkowy. Jeżyk zwiększa szybkość i zachowuje trzymetrowy dystans. Ostro przyśpieszam – on też. Aż lecą we mnie grudki ziemi spod jego łapek. Wskakując na kopczyk, przelatuje w powietrzu chyba ze dwa metry. W trawie pozostaje ślad jak po kosiarce. Ach ten jeżyk! Ach te smoki! Skonstruowały takiego rumaka!

 Zwalniam do spokojnego biegu. Nie chcę stać przed smokiem spocony i zziajany. Zaczyna się las. Idę powoli, bo sterczące gałązki mogą podrapać, a nawet wybić oko.

 – Daleko jeszcze? – pytam.

 – Dwieście siedemdziesiąt dwa metry. – ogłasza jeżyk standardowym barytonem cybera.

 Parszywy pedant! Ale czy te dwieście siedemdziesiąt dwa metry jest od niego czy ode mnie? I do którego miejsca smoka? Do mordy, do ogona, czy do środka ciężkości?

 Przez ten czas, kiedy rozmyślam nad ścisłością wymiarów, zbliżam się do smoka na piętnaście metrów. Wychodzę spomiędzy drzew na polanę i pierwszy raz pierwszy raz widzę smoka z tak bliska. Może w mieście to nie jest takie straszne, ale tutaj, w lesie… Stojąc na dwóch łapach jest wyższy od słonia. Wyższa – bo to samica. Istota rozumna.

 Uspokajam się i przyglądam się jej. Ciemnozielona, bez rogów, ale kły!... Mogłaby mnie przegryźć na pół i połknąć w dwu kęsach. Na głowie coś a la dziana czapeczka z dziurami na uszy. Ponadto okulary-komputer i szeroki skórzany pas z licznymi różnej wielkości kieszeniami – to całe ubranie. Prawie jak wczoraj Shayla: maska, płetwy i pas z pistoletem. Po co takiej machinie barwa ochronna? Żeby napadać z zasadzki? O czym ja myślę?!

 – Przyszedłem.

 – Dziękuję, Kir. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Wszyscy jesteśmy ci bardzo wdzięczni. Sam nie wiesz, czego dokonałeś. Wróciłeś życie naszej dziewczynce, i to w ciągu niecałego miesiąca. Nie płakała od piątego roku życia, a jeszcze wcześniej przestała się śmiać. Ale po co wczoraj ukryliście się przed obserwacją? My wam zapewniamy bezpieczeństwo. Bardzo się niepokoiliśmy, gdy na flyerze zniknęliście z naszych radarów tuż nad ziemią.

 Zniknęliśmy z radarów. Dobrze wiedzieć. Choć wątpliwe, czy uda się powtórzyć ten trick.

 – Shayli sprzykrzyło się żyć w wiwarium, w akwarium, w klatce, pod mikroskopem, pod kopułą, na pelengu, na haczyku, na smyczy. Rozumiesz slang?

 – Ale po co chcecie niszczyć komory zero-t? Nie pal mostów, nie usuwaj się ze świata.

 – A czy nie jestem tam jeszcze uznany za zaginionego bez wieści?

 – Oczywiście, że nie. Praktykę z przeżycia masz w dziekanacie zaliczoną. Obecnie wypełniasz ważne i tajne zlecenie smoków. Tajne, ale wszyscy myślą, że to coś związanego z komputerem Cierpliwych i zazdroszczą ci.

 – Ale ja praktykę zawaliłem, spadłem ze skały…

 – O tym nikt nie wie. – Uśmiechnęła się zielona, pokryta łuskami istota. – Początkowo nie chcieli odstąpić od zasad, ale przekonaliśmy ich.

 – W jaki sposób?

 – Pokazaliśmy fotografię, jak niesiesz wiązkę norików, zabitych pierwszego dnia. Eksperci zgodzili się, że, jeśli upolowałeś noriki, to reszta jest czystą formalnością.

 – Ale przecież ja ich nie jadłem.

 – To akurat nie jest ważne. Miałeś zamiar je zjeść, ale znalazło się lepsze jedzenie.

 – Ale… – Zaskoczony kręcę głową, lecz zaraz macham ręką. – Ale nie o tym mówimy.

 – Tak, nie o tym mówimy – zgodziła się smoczyca. – Masz na pewno mnóstwo pytań. Zadawaj je, a ja na nie odpowiem.

 – Po kiego diabła ciągle nas szpiegujecie?

 – Chyba będę musiała opowiedzieć ci wszystko od początku. Dwadzieścia lat temu, kiedy wszystko planowaliśmy, było to pomyślane zupełnie inaczej. Chcieliśmy dla ludzi szczęścia i wzajemnego zrozumienia. Wiesz już, że Miriam, matka Shayli, to rozumny cyber. Wielki Smok chciał stworzyć cybera, który byłby nie do odróżnienia od człowieka – a wyszedł mu człowiek z krzemowymi procesorami zamiast szarych komórek. Wszystko poszło krzywo od samego początku. Ekspedycja po geny Wszechmogącego jeszcze się udała, ale dalej było już tylko coraz gorzej. Jakby jakieś fatum zawisło nad losem Shayli. Wszyscy tak marzyliśmy o dziewczynce: Miriam, Tavia, ja… Ja też byłam kiedyś człowiekiem, Kir. Przeżyłam dwieście lat, ale nie miałam dzieci. Artiomek – to dopiero później, gdy już zostałam smoczycą. Marzyłam o tym, żeby zostać babcią Shayli. Elana opowiadała, jak zastąpiła babcię Johnowi Kongowi, więc i ja o tym marzyłam, stara durna baba. Wszystko poszło krzywo, Kir, już od samych narodzin Shayli. Ona nie chciała patrzeć na matkę. Ssie mleko z piersi Miriam, a rączki wyciąga do Tavii. Miriam omal nie zwariowała z żalu. A Tavia nie wytrzymała, wyjechała. Myślała, że jak jej nie będzie, mała zrozumie, kto jest kto. Ale Shaylinka to przecież telepatka. Dla niej, jak nie ma myśli, to nie ma człowieka. Nie jesteś matką, tylko automatycznym karmnikiem. Nie wolno było powierzyć rodzenia pierwszego telepaty cyborgowi i nie wolno było pozwalać Tavii odjechać. To były nasze pierwsze pomyłki. Jesteśmy za nie odpowiedzialni, ale naprawić ich nie zdołamy. Tak, marzyłam o zostaniu babcią Shaylinki… Naiwna prostaczka! Shaylinka zaczynała płakać, gdy tylko któryś ze smoków zbliżał się do niej na odległość mniejszą niż dziesięć metrów. Myśleliśmy, że ona zwyczajnie boi się smoków. Podrośnie, zrozumie i przestanie się bać. Kir, ona nic nam nie mówiła! Dopiero tobie powiedziała, że nasze bio-promieniowanie ją uciska. Gdybyśmy o tym wcześniej wiedzieli! Widzisz, że włożyłam czapeczkę? To hełm-zagłuszacz. Coś w rodzaju tarczy-medalionu, który Shayla ci dala. O Boże, ależ ten hełm wynalazł Wielki Smok już ponad trzysta lat temu! Jestem gotowa nosić go całe życie, żeby Shaylince było lżej. Tak popełnialiśmy pomyłkę za pomyłką. Retrospektywnie to wydaje się oczywiste, ale… Aż chce się zjeść własny ogon. A mała rosła wilczkiem. Daremnie Mrok próbował dobierać jej towarzyszy-ludzi. Niby to najszlachetniejszych, elitę. Skąd mieliśmy wiedzieć, o czym oni tak naprawdę myślą? Ludzi ocenia się po słowach i czynach. Tak było zawsze. A Shaylinka sądzi po myślach… Żebyś wiedział, Kir, jak nam było trudno… Czego to myśmy nie próbowali… A robiło się coraz gorzej i gorzej. Jesteś naszą ostatnią szansą.

 – Rumak rozpłodowy.

 – Czyżby i tobie trzeba było to wyjaśniać? Shaylinka jest wyobcowana i niekomunikatywna. Żyje w oderwaniu od ludzi i to oderwanie stale się powiększa. Musisz rozerwać tą niekomunikatywność, przywrócić ją do ludzkiej społeczności. Jeśli ty tego nie zrobisz, to już nikt tego nie zrobi.

 – Chcecie mnie zwerbować?

 – Nie wiem, czy można to tak określić. Pozostań sobą, Kir. Po prostu pozostań samym sobą. Teraz ty dla Shaylinki jesteś jasną stroną ludzkości. Zabezpieczymy wam warunki, żebyście się jeszcze bardziej otworzyli jedno przed drugim. Odosobnienie, niebezpieczeństwa. Cała reszta w waszych rękach. Szukaliśmy ciebie przez ponad rok, choć kryterium doboru było tylko jedno: zwykła ludzka przeciętność. I nie pomyliśmy się co do ciebie. Ona ci uwierzyła, jedynemu ze wszystkich. Po raz pierwszy otworzyła duszę przed innym człowiekiem. Możesz mi nie wierzyć, ale w ciągu tych dwu tygodni dowiedzieliśmy się o naszej małej więcej, niż w ciągu poprzedzających dziesięciu lat. Nawet nie podejrzewaliśmy, że eksperyment się nie udał, że ona jest telepatką projekcyjną Aha, Kir, dziękuję ci.

 – Za co?

 – Że wybaczyłeś małej. Napadła wtedy na ciebie nie ze złości, a z rozpaczy. I jeszcze jedno. Nie wiem, jak ułożą się stosunki między wami, ale prędzej czy później Shaylinka zechce urodzić.

 – To was nie dotyczy.

 – Kir, to dotyczy całej ludzkości. Telepatia projekcyjna – to szalenie niebezpieczne. Jeśli zechce urodzić – to tylko sztuczne zapłodnienie. Skorygujemy genom. To będzie we wszystkim jej dziecko, usuniemy tylko telepatię. Nasza wina. Ale nie rozumiem, jak ona zamiast zwykłej telepatii otrzymała projekcyjną. Pracujemy nad tym dzień i noc, ale… Kir, ona tu leci z niedobrymi zamiarami! Dokończymy rozmowę później!

 Uderzyła mnie w pierś fala powietrza i… smoczyca znikła. Po prostu znikła! W miejscu, gdzie stała, zrobiła się kwadratowa jama o boku piętnastu metrów i głębokości metra. Nad moją głową przeleciał flyer. Zrobił płynny wiraż, zawrócił i pionowo wylądował dokładnie pośrodku jamy. Tak dokładnie może wylądować tylko autopilot. Z flyera wyskakuje Shayla. Rozwścieczona Shayla z pistoletem laserowym w ręce.

 – Ty!!!

 – Ja.

 – Zdrajco!

 Odwracam się i idę w kierunku domu.

 – Wierzyłam ci!

 – A co powinienem był zrobić?

 – Zabić ją! Przecież obiecałeś!

 Kiedy to obiecywałem? Tego nie obiecywałem. Obiecywałem połamać rogi. Ale smoczyca rogów nie miała. Poza tym – myszka z białą flagą… Mówię to Shayli i dodaję:

 – Nie strzelam do parlamentariuszy.

 – Ona ci … duszę … twoja mać! Zamydli ci oczy, przekona cię do czego zechce. To są smoki! A ty we wszystko wierzysz.

 – Smoki cię często oszukiwały?

 Teraz – łzy. Nienawiść i łzy. Mądre smoki planowały powszechne szczęście, a otrzymały nienawiść i łzy. Cudownie!

 – Jak nie chcesz jej zabić, to mnie! – woła Shayla i natarczywie pcha mi w rękę pistolet.

 – Mam swój.

 Gdy wchodzę do pokoju, Shayla już tam jest: przegoniła mnie na flyerze. Coś szyje. Nie, pruje. Pociąga nosem i wściekle przecina nitki. Odrywa uszy od kaptura. Czyli,. Jak łatwo się domyśleć, nie będzie już Niedźwiadkiem.

 Siadam przy komputerze, wkładam hełm sensowizora, wzywam informatorium i wysyłam interpelację dotyczącą smoków w imieniu głównego administratora planety, którego kod i hasło znajduję od razu na pulpicie. Pytanie zostaje przeadresowane gdzieś w ogólną sieć, co jest dla mnie przyjemną niespodzianką. Póki w odpowiedzi na moją interpelację spływają gigabity, wchodzę do sieci pod własnym imieniem i od razu dostaję osiem listów: jeden od rodziców, siedem od kolegów z naszej grupy i znajomych z innych., odbywających praktykę jak my. A przecież jeszcze nie minął miesiąc.

 Pełen najgorszych przeczuć czytam pierwszy list. Tak jest. Siemion zawalił zaliczenie. Utopił w trzęsawisku cały zestaw butli z tlenem i wezwał ratowników.

 Paula zawaliła zaliczenie, i to gdzie! Na starym, dobrym, zamieszkałym Sekondzie! Pomyliła krzyżaka z czerwonym ogłupiaczem, pomyślała, że się otruła i wezwała SOS. A gdy zrozumiała, co się stało, było już za późno. SOS-u nie cofniesz.

 John zawalił zaliczenie. Wpadł do szczeliny na lodowcu, uszkodził skafander i doznał odmrożeń. Już wyszedł ze szpitala.

 Linda zawaliła. Złamała nogę, ale chciała docierpieć do końca terminu. To jest zgodne z zasadami – jeśli dasz sygnał po terminie. Nawet o minutę, ale po. Ale Lindzie się nie udało: zaczęła się gangrena i teraz musi jej odrosnąć nowa noga. Wszyscy będą zaliczali ponownie. Żegnajcie wakacje! A Linda aż w przyszłym roku. Ale właściwie sama sobie winna. Z otwartym złamaniem nie trzeba było ryzykować. Zagoiłoby się w trzy dni i zdążyłaby na poprawkę jeszcze w tym roku.

 A Tolan przepadł. Zginął. Nie znaleziono nawet jego radiostacji. Cóż, wszyscy wiedzieliśmy, na co idziemy. Według statystyki trzydzieści procent daje SOS, a co setny ginie. Tolan przepadł… Obok jego imienia mogło pojawić się i moje. Mogło, ale się nie pojawiło. Wesoły, narwany młokos Tolan. Mój największy przyjaciel…

 Pogrążam się w pracy po uszy. Informacji o mrokobiesach nie ma. Zamknięta dla zwykłych śmiertelników. Ale kto powiedział, że kosmodesantowiec to zwykły śmiertelnik? Zawaliłem zaliczenie z przeżycia, będę zdawał z informatyki.

 Za oknem zaczyna ciemnieć. Włączam światło, przeciągam się z chrzęstem i wracam do pracy. Nie dowiaduję się o Mroku niczego oprócz indeksu pocztowego i adresu sieciowego. Wyświetla się okienko zawiadomień o pilnych mailach. Czytam:

 „Kir, dla ciebie i Shaylinki informacja o nas, mrokobiesach, jest otwarta. Po prostu wejdź w sieć pod swoim imieniem”. Podpisane – Catherine. Ta-ak… Czyli zawaliłem także zaliczenie z informatyki, i w dodatku wpadłem. Dostałem przyjacielskiego klapsa w pupkę.

 Wchodzę w sieć pod własnym imieniem i pobieram informację o rodzinie Mroka. Nic dziwnego, że wpadłem. Mrok to najwyższy kurator Strefy. Stanowisko bardzo wysokie, ale i bardzo nieprzyjemne. Smok na takim stanowisku musi sam naruszać prawo. LUDZKIE prawo. A smocze?

 Szukam w informatorium. Nie ma smoczego prawa. Jest mnóstwo poprawek do praw ludzkich, uwzględniających szczególne cechy smoków, ale ostatnią przyjęto trzysta lat temu. Od tej pory – cisza. Albo smoki żyją według praw ludzkich, albo prawo im nie pisane.

 Zdejmuję hełm, wyłączam komputer i idę do kuchni. Kolacja dawno wystygła. Nie, to chyba był jeszcze obiad. Zupa pokryła się warstewką zastygłego tłuszczu. Wylewam ją do utylizatora, tamże wyrzucam puree z kartofli. Mleko wypijam. Mleko i puree są ze składu, a zupę Shayla sama gotowała. Pewnie się obrazi. Ale przecież nie zawołała.

 Tolan przepadł…

 W sypialni Shayli nie ma. Zanim zaczynam się niepokoić, w ścianę uderza coś miękkiego., chyba kapeć. Jasne, Shayla za ścianą. Idę do sąsiedniego pokoju. Znowu jasne. Na takim wąskim łóżku dwoje się nie zmieści. Siadam na krześle i, patrząc w złe oczy, dokładnie relacjonuję rozmowę ze smoczycą, a potem wszystko, czego dowiedziałem się z komputera. W myślach wciąż plącze mi się Tolan.

 – Będziesz się ciągle tak wahał między mną i smokami?

 Milczę. No bo co można na takie pytanie odpowiedzieć?

 – Wahadło!

 Wahadło… Słuszne. Ale kimże innym mogę teraz być? Żeby prowadzić wojnę, trzeba mieć pewność swojej racji. A czy ja ją mam? Już nie. No i wybieram taktykę głuchej obrony. Żeby nie zaszkodzić ani naszym, ani waszym. Taktyka kiepska już od samego początku. Przegrywająca. Nie można zwyciężyć tylko się broniąc.

 – Po co mi to wszystko opowiadasz?

 „Jesteśmy drużyną” – odpowiadam w myśli.

 – Nie jesteśmy już drużyną. Smoki wzięły się do ciebie. Jutro kupią cię z całym kramem. Lepiej pożegnajmy się po dobroci. Przenoszę się na stację meteorologiczną.

 – Tam jest ponad sto kilometrów.

 – Dwa dni drogi.

 – Lepiej weź flyer.

 – Tobie on jest bardziej potrzebny. Nie przywykłeś do maszerowania na własnych nogach.

 – Jako desantowiec przywykłem. Jeśli nawet jesteś w tym lepsza ode mnie, to niewiele.

 – Ale jestem lepsza!

 – Weź flyer. Jeśli będzie mi potrzebny, powiem ci to przez radio i przyleci na autopilocie.

 – Dobrze. Dziękuję. Spokojnej nocy.

 Wyprasza mnie uprzejmie za drzwi. Uprzejmie odchodzę, rozbieram się i nurkuję pod koc. Otrzymałem rozwód. Bez łez, bez histerii, inteligentnie, w czysto angielskim stylu.

 Tolan przepadł…

 Kładę się na wznak, z rękami pod głową i zachwycam się orzą polarną na suficie. Tworzy ją lampka nocna, znaleziona gdzieś przez Shaylę. Szklana podświetlana kula, a w niej trzy nie mieszające się ciecze. Na dole zielona, nad nią niebieska, a najwyżej przeźroczysta. Po włączeniu lampy ciecze stopniowo zamieniają się miejscami. Niebieska, nagrzewając się, kuleczkami unosi się do góry. Tam kulki stygną i opadają, ale na ich miejsce już unoszą się następne – w większej ilości. Stopniowo cała niebieska ciecz gromadzi się na górze. Przelewa się delikatnie, wyrzuca i wciąga z powrotem nibynóżki. A na ich spotkanie wyskakują z dołu zielone.Wielobarwne odblaski biegają po ścianach i suficie. Można na to patrzeć godzinami.

 Całe zło od kobiet. Po kiego diabła przyleciała ta Catherine? Nic dokładnie nie wyjaśniła, zepsuła wszystko i znikła. A Shayla… Co ja, jej zdaniem, powinienem był zrobić? Strzelać do parlamentariusza? Do smoczycy? Nie, nie poszedłbym z nią w desant. Zawodna. Nie można jej wierzyć. I z Paulą bym nie poszedł. Wiatr w głowie. Zawalić zaliczenie na Sekondzie – to tylko ona potrafi. I chyba jeszcze ja. A z Lindą bym poszedł. Zęby zaciśnie, oczy przymruży. Wykapana Shayla, tylko bez wyskoków. Spokojna, zrównoważona, pewna, uparta. Do diabła! Nie mogę przypomnieć sobie jej oczu. A oczy Shayli – to jak spojrzenie znad cyngla.

 Drzwi otwierają się, wpada Shayla, owinięta prześcieradłem. Hałaśliwie szpera w szafce nocnej, wysuwa i wsuwa z powrotem szuflady. Znajduje medalion, próbuje włożyć. Łańcuszek plącze się w jej włosach.O czym to ja myślałem? O Boże, że nie pójdę z nią na desant!

 – Przepraszam, Niedźwiadku.

 – Wszystko się zgadza. To moja wina. – Wychodzi.

 A Tolan przepadł. Jeden do jednego.

 Jemy śniadanie razem, ale w milczeniu. Shayla ma czerwone, opuchnięte oczy. I nos też czerwony.

 – Shay…

 – Tak będzie dla nas obojga lepiej.

 – Tak będzie dla nas obojga gorzej.

 – Znowu nic nie zrozumiałeś. Zaraz cię zaczną powoli podkupywać. Nie chcę na to patrzeć.

 – Nie jestem na sprzedaż.

 – Kir, jeśli zdołasz to za tydzień powtórzyć, wrócę.

 Odprowadzam ją do flyera. Przeprowadzam procedurę diagnostyczną, upewniam się, że w pamięci autopilota są potrzebne mapy. Sprawdzam, czy wzięła radiostację.

 Odprowadzam wzrokiem samolot. Wracam do domu. Chodzę po nim. Pusto.

 Dość! Co tak upadłeś na duchu? To ma być kosmodesantowiec? Aż wstyd patrzeć. Siadam do komputera. Przed desantem na planetę desantowiec powinien o niej wszystko wiedzieć, aż do drobiazgów. Tu chodzi nie o planetę, tylko o smoki, ale zasada ta sama.

 Nowy list do mnie – znowu od rodziców Tolana. Nie odpowiedziałem jeszcze na poprzedni. Do diabła! Reszta może poczekać.

 Kochany Kireczku! Nawet nie wiem, jak mam ci dziękować. Niech Bóg da ci dużo zdrowia i szczęścia! Tobie i twoim przyjaciołom smokom. Tolik będzie żył! Wyciągnęły go spod osuwiska! Dzisiaj znowu przylecieli do nas Artiom i Szalla, mówiąc, że teraz już na pewno wiadomo, że mózg nie został uszkodzony. A że wszystkie kończyny ma połamane, to nic. Obetną mu je i wyrosną nowe, lepsze od starych. Najważniejsze, żeby mózg był cały.

 Kireczku, jak to się stało, żeś wszystkie smoki poderwał, nawet Wielkiego Smoka oderwałeś od spraw jaszczurów – a zapomniałeś zakomunikować na uczelnię? Wszyscy się strasznie zdenerwowali. Tolik od tygodnia leży w szpitalu, a wasi szukali go po całej planecie.

 Rozumiemy, że teraz jesteś bardzo zajęty. Ale jak znajdziesz czas, koniecznie przyjeżdżaj. A słoika z Twoją ulubioną konfiturą ze skórek pomarańczy nie dam nikomu.

 Anastazja Siemionowna – dla Ciebie po prostu ciocia Nastia.

 Zdejmuję hełm, wyłączam komputer i dłuuugo wpatruję się w pusty ekran. Tolan żyje! Uratowały go smoki, które ja zaalarmowałem – tak to należy rozumieć. Stało się to tydzień temu, czyli wtedy, kiedy umilkła jego radiolatarnia. To znaczy, że smoki uratowały prawdziwego Tolana, a nie jego kopię z przeszłości. Zresztą jakaż to, u diabła, różnica? Najważniejsze, że żyje. Ale jak smoki dowiedziały się, że trzeba go ratować? Mnie – tak. Mnie obserwowały. A jego? Po co miałyby obser4wować Tolana, jeśli Shayla jest ze mną? A może to osuwisko nie było przypadkowe? Czy to takie trudne – po cichu trącić kamyk w górach, a potem uratować?

 Shayla mówiła, że będą mnie kupowali z całym kramem. Jak powinienem zareagować na ocalenie przyjaciela z dzieciństwa? Jak zareagowałbym, gdyby Shayla mnie nie uprzedziła?

 I nagle pojmuję, że to wszystko jest znacznie bardziej złożone i straszne, nawet straszniejsze, niż ona przypuszcza. W ratowaniu Tolana brał udział sam Wielki Smok, ostatnia nadzieja Shayli. Wszystko, co się tu dzieje, dzieje się za jego wiedzą. O tym ona nie może się dowiedzieć w żaden sposób. Nie można zabierać człowiekowi ostatniej nadziei.

 Grzebię w szafce w poszukiwaniu tarczy. Nigdzie nie ma. Wyrywam szuflady i wysypuję ich zawartość na łóżko. Shayla w nocy wzięła!

 Świństwo!!!

 Pozostaje tylko jedno wyjście. Pilnie zamówić drugą tarczę u smoków i nigdy jej nie zdejmować. Za tydzień przyleci Shayla i poprosi o jej zdjęcie. Nie zdejmę, a ona znowu odleci, tym razem już na zawsze.

 Co mnie tak wzrusza? Przecież ja jej nie kocham. Między nami jest tylko przyjaźń. NIE KOCHAM JEJ! Tylko przyjaźń! Kocham Lindę!

 Kogo próbujesz oszukać?! Siebie! Idiota! Myśl!!!

 Jak w tak krótkim czasie stałem się ogniskiem wszystkich tajemnic? Jak stojący na arenie cyrkowej w blasku reflektorów klown, który zapomniał tekst repryzy. Biorę arkusz papieru i ołówek, rysuję mnóstwo kwadracików, połączonych strzałkami – graficzny zarys sytuacji. Na połowie strzałek znaki zapytania. Jaka korzyść z takiego rysunku? Żadna, gdyż nie umiem myśleć graficznie – to też jest sztuka! Siadam do komputera i wysyłam wiadomość do Catherine z najwyższym możliwym priorytetem.

 Dosłownie po minucie rozlega się stukanie do okna. Catherine już jest. Wychodzę na ganek.

 – Kir, to jakieś fatum. Sam teraz widzisz: co byśmy nie robili – tylko gorzej i gorzej…

 – Przyniosłaś tarczę?

 – Tak, ale tamta też jest gdzieś tutaj, o dziewięć metrów ode mnie – smoczyca wskazuje łapą okno sypialni Shayli.

 – Skąd wiesz?

 – To urządzenie wielofunkcyjne. Radiostacja, pelengator, komputer-informator. Tarcza to tylko jedna z wielu funkcji. Kir, chciałabym dokończyć wczorajszą rozmowę. Shaylinka musi wrócić do świata ludzi. Jej obecna sytuacja jest zupełnie nienormalna. To nasza wina, i proponujemy kilka wariantów. Pierwszym mogłoby być wyhodowanie jej nowego mózgu albo całego ciała, do którego przepisalibyśmy całą jej pamięć…

 – A stary mózg?

 – Po przepisaniu pamięci mózg ulega likwidacji. Ja też w ten sposób stałam się smokiem.

 – A jaki to będzie miało sens?

 – Poprawimy stare pomyłki. Nowy mózg będzie typu smoczego. Będzie od ludzkiego szybszy i wydajniejszy. Shaylinka nic nie straci, tylko zyska.

 – Co zyska?

 – Czytanie myśli smoków bez efektów ubocznych. Możliwość zamieszkania w mieście. Tu jest dużo problemów technicznych, ale daję słowo smoka, że rozwiążemy je w ciągu roku.

 – Wątpię, czy Shayla na to pójdzie. A inne warianty?

 – Możemy dać jej ciało smoka.

 – Pozostanie telepatką?

 – Jak zechce, do wyboru. Aha, Kir, do ciebie też się to oczywiście odnosi.

 – Macie jeszcze inne warianty?

 – Wszystko, co zaproponuje Shaylinka. Bardzo wiele zależy tu od ciebie, Kir. Postaraj się przekonać ją, że nie jesteśmy jej wrogami, że chcemy tylko: by dziewczynkabyła szczęśliwa.

 – Będziecie musieli sami jej o tym powiedzieć. Do mnie już nie ma zaufania. Już wczoraj uważała, że chcecie kupić mnie z całym kramem, a jak się jeszcze dowie o dzisiejszym…

 – O czym?

 – Że uratowaliście Tolana. Bo to dla mnie, nieprawdaż?

 – Kir, to była wyłącznie inicjatywa Szalli, która do niczego ciebie nie zobowiązuje. Po tym, jak ty i Shayla spadliście w przepaść, Szalla postanowiła cały twój rocznik wziąć pod obserwację. „Jesteście przecież tacy niezgrabni” – cytuję jej słowa. Ale przez okrągłą dobę śledzić osiemdziesięciu kursantów – to przekracza nawet siły smoka. Wydostać Tolana spod osuwiska nie zdążyła, więc zaangażowała do tego kilkanaście znajomych smoków. A co się tyczy ciebie, to była kompletna improwizacja. Trzeba było jakoś wyjaśnić Komandorowi nasze zainteresowanie losem tego chłopca, więc powołaliśmy się na jego związki z tobą. Było to o tyle łatwe, że w waszym dziekanacie uważają, że wypełniasz jakieś nasze ważne zlecenie.

 – Kto to jest Komandor?

 – Wielki Smok. Byłeś przecież na jego sztuce.

 – Co Komandor wie o mnie i o Shayli?

 – Nic.

 – Dlaczego?

 – Kir, Mrok bał się, że Komandor mógłby mu zakazać eksperymentu. Mógł mieć zobowiązania wobec ludzkości.

 – A wy?

 – Oboje spędziliśmy wiele lat na Strefie. Mrok uważa, że… Wiesz co, zostawmy ten temat.

 – Muszę pomyśleć.

 – Oczywiście, oczywiście.

 Znowu nic nie wiem. Komu wierzyć? Shayli czy smokom? A może nikomu? Dlaczego tak trudno podjąć decyzję, kiedy sprawa dotyczy ludzi? Z techniki jestem najlepszy w grupie.

 Sięgam po radiostację.

 – Drugi, tu pierwszy. Odbiór!

 – Kir, słyszę cię! – odpowiada od razu, jakby czekała na moje wezwanie.

 – Zaraz lecę do ciebie z Catherine. Ona jest posłem i zagwarantowałem jej bezpieczeństwo.

 – Już cię kupili?

 – Jesteś głupia. To ty będziesz mówić. Ja tylko jestem gwarantem bezpieczeństwa stron. Żeby nie wpływać na twoje decyzje, włożę tarczę. Zgadzasz się?

 – Nie.

 – A ja jednak lecę!

 – Będę strzelać!

 – Dobrze, ale zacznij ode mnie. Koniec łączności.

 Idę do sypialni Shayli, znajduję medalion pod poduszką, zdejmuję z niej poszewkę, wysoko podskakuję, zawisam na karniszu z zasłonami. Długi metalowy pręt wyskakuje z gniazd, ciężka tkanina ścieli się po podłodze.

 – Napraw karnisz – rzucam w biegu cyberowi.

 Przywiązuję poszewkę za rogi do żelaznego pręta – teraz to biała flaga posła. Catherine zgina łapę, włażę na nią, sadowię się u podstawy szyi. Już w locie wkładam pręt w jej łapę. Nigdy nie latałem na smoku. Kołysze jak w jachcie na falach: w górę, w dół, w górę, w dół…

 – Dziękuję ci, Kir.

 Świeży, chłodny wiatr wydyma koszulę. Zbyt chłodny. Trzeba było ubrać kurtkę. Zauważam, że liście na ziemskich brzozach zaczynają żółknąć.

 – Czy tu zimy są mroźne? – pytam.

 – Nie, ale mgliste. Tu w zimie są straszne mgły. Oceanologowie pochrzanili z prądami, a korekcyjnej grobli nie zdążyli usypać.

 – Dlaczego Shayla drze koty z rodzicami?

 – Bo widzisz, Kir, jej matka…

 – O matce wiem. A ojciec?

 – Nie dopuszcza jej do swoich myśli.

 – Dlaczego?

 – To równie tragiczny i głupi aspekt tej historii, jak i wszystkie inne. Wszyscy chcieliśmy, by dusza Shaylinki była czysta i jasna – jak górski kryształ. A jej ojciec to były przestępca, i to nie byle jaki. Póki nie wpadł w łapy Komandora, był szefem mafii. Teraz wręcz śmiertelnie się boi, że dziewczynka pobierze od niego zło. Rozumiesz, Kir, mój mąż, Mrok, umie świetnie przewidywać postępowanie ludzi – a w przypadku Shaylinki jego doświadczenie nic nie daje, robi błąd \za błędem. Nie wierzył, że mała ciebie pokocha. To ja na to nastawałam.

 Ojciec nosi medalion, a Shayla go nienawidzi. Teraz i ja będę nosił medalion. Nie zdejmę go – i zabiję miłość. Albo: zdejmę i zabiję nadzieję. Nie ma wyjścia. Podobno w pierwszych wagonach metro był taki napis – i słabi duchem pasażerowie rzucali się na szyny. Potem zmienili go na „Wyjście obok” – może i na szyny? Mała zachowa nadzieję, ale straci miłość. Nie, to nie jest żadne wyjście. Więc co robić? Jestem gotowy na wszystko – ale co robić?...

 Shayla spotyka nas na placyku przed domem. W ręce trzyma pistolet laserowy. Nie widzę, jak jest ustawiony, ale gotów jestem się założyć, że na pełną moc, wąski promień, ogień ciągły. Żeby pokroić smoka na plasterki. Catherine macha białą flagą i ląduje obok flyera. Zeskakuję z niej, obejmuję Shaylę, prowadzę ją za róg domu i komunikuję:

 – Niedźwiadku, okoliczności się zmieniły. Smoki zgadzają się na wszystko. Nie musisz nawet dzisiaj nic decydować. Tylko wysłuchaj jej. Umówiliśmy się?

 – Głuptasie, przecież ona ciebie słyszy.

 – A co ja takiego powiedziałem?

 Shayla marszczy czoło, uśmiecha się kwaśno, kiwa głową i idzie na rozmowy z entuzjazmem wchodzącego na szafot. Odrzucam pokrowiec flyera i siadam na jego stopniu. Stąd widać obie, ale nie słychać, o czym mówią. Nie mam co robić, więc obmyślam system obrony przed smokami. Okazuje się bardzo prosty. Smoki wykorzystują zero-t. Przed każdą przesyłką odbywa się intensywna wymiana informacji między elementami systemu. Wystarczy nabić zero-eter zakłóceniami i system nie będzie działał. Do tego potrzebny jest generator przypadkowego kodu z adaptacyjnym strojeniem na częstotliwość, fazę i polaryzację kanałów informacyjnych zero-t smoków – nic złożonego! Gdybym na ten pomysł wpadł tydzień temu, nasze losy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Dzisiaj to czysta teoria. Oczywiście zakładając, że wierzę smokom. A czy im wierzę?

 – Jesteś zajęty? - Podnoszę oczy: Shayla. – Kir, czy ty chciałbyś zostać smokiem?

 – Chciałbym. Ale mam wątpliwości, czy to możliwe.

 – Ale… A Catherine?

 – W inkubatorze wyhodują ci ciało smoka. Włożą ci na głowę hełm, przepiszą twoją pamięć do komputera, włożą hełm na głowę smoka i z komputera przepiszą mu twoją pamięć. Pozostaniesz sobą. Smok będzie wiedział wszystko, co ty. Ale czy to będziesz ty? Nie wiem…

 – A moje ciało?

 – Natychmiast i bezboleśnie. Na atomy.

 – Wszystko zrozumiałam, dalej nie wyjaśniaj. Kir, po co oni mi to proponują?

 – Chcą, żebyś była szczęśliwa.

 – Wierzysz im?

 – Nie wiem.

 – Kłamiesz. Wierzysz. Kir, po co włożyłeś tarczę?

 – Żebyś nie dowiedziała się tego, czego nie powinnaś.

 – A czegóż to nie powinnam wiedzieć?

 – Później ci powiem.

 – Głuptasie! Przed włożeniem tarczy trzeba ją włączyć.

 Ależ się zbłaźniłem! Co za wstyd!

 – Kir, nie gniewaj się, proszę. Przecież dałam ci słowo, że kiedy jesteś bez tarczy, mówię ci tylko prawdę. A jeśli chodzi o Wielkiego Smoka, to uspokój się. On nic nie wie. Aha, jeszcze jedno. Bądź ostrożny z Catherine. Ona nie jest zwykłym smokiem. Potrafi wyczuć kłamstwo. To nie jest telepatia, ale coś zbliżonego.

 Miesiąc temu myślałem, że żyję w prostym i zrozumiałym świecie. Gdzież on się podział?

 – Lecimy do domu, Niedźwiadku – proponuję.

 – Kir, wybacz, ale nie mogę – odpowiada Shayla. – Muszę powziąć życiowe decyzje. Już chciałam zgodzić się zostać smokiem, a ty wszystko zepsułeś.

 – Jeśli chcesz zmienić mózg, to przecież to samo. To już nie będziesz ty, tylko ktoś inny z twoją pamięcią. Ty – to mózg.

 – Niech to diabli!

 – Nie klnij!

 – A jak mam nie kląć? Rozumiesz, coś ty mi narobił? Mam teraz całe życie sterczeć na tej cholernej planecie? Catherine obiecała mi, że z nowym mózgiem będę mogła żyć całymi dniami w każdym tłumie! Bez żadnego bólu głowy! Zobaczę świat! Usłyszę lepiej myśli smoków! A ty?!!! Posuń no się – Przesuwam się i siada koło mnie. – Kir, nie bój się o mnie. Bardzo cię kocham, ale teraz chcę pobyć sama. Wrócę do ciebie, gdy podejmę decyzję. Zawsze uciekam w tajgę, kiedy muszę coś przemyśleć. Mam już taki specyficzny organizm. I przestałam już nienawidzić smoki. Ale to i tak łajdaki! Zabrały mi zwycięstwo!

 – Nie rozumiem.

 – Poddały się bez walki. To nie zwycięstwo, to czysta kpina z marzenia, kiedy przeciwnik sam kładzie się na łopatki!

 – Teraz rozumiem.

 – Nieprawidłowo rozumiesz. Wcześniej byłam słabsza od nich i nic nie mogłam zrobić. Są takie ogromne i silne, a ja – taka malutka. A teraz nauczyłam się od ciebie walczyć – a walczyć nie ma z kim. Legły przede mną brzuchami do góry. To twoja wina. I tej przeklętej planety. Tu nie da się nienawidzić. Leć do domu, Kir. Ja wrócę. Wszystko przemyślę i wrócę.

 Z powrotem lecę flyerem.W garażu stacji meteorologicznej stoi drugi. Kazałem cyberom doprowadzić go do porządku.

 W przedpokoju cybery kończą montować zero-kabinę. Wyjmuję radiostację i komunikuję o tym Shayli.

 – Wiem. To ja im kazałam. Żebyś mógł widywać przyjaciół. O energię się nie bój, za wszystko płacą smoki. – odpowiada. Siadam przy komputerze i łączę się z Catherine.

 – Jak poszły rokowania?

 – Kiepsko, Kir. Ona żąda niemożliwego. Chce zobaczyć się ze Szkodniczkami i jaszczurami. Nie wiesz, po co jej te jaszczury?

 – Domyślam się. A ty?

 – Zgodziłam się. Jestem głupia, prawda? Mrok jeszcze nie wie. Oj boję się, boję, boję…

 – Chciałbym porozmawiać x Grebem.

 – To łatwe. Zapisz kod.

 – Pan musi zdjąć tarczę i odsłonić duszę przed córką.

 – Jesteś doprawdy jakimś moralnym potworem. Nawet się nie rozzłościłeś, gdy się dowiedziałeś, że czyta twoje myśli. A to przecież TWOJE myśli! Twoje wnętrze! A może nie masz w sobie nic takiego, co chciałbyś ukryć przed innymi?

 – Przed innymi tak, ale nie przed nią. To moja żona. I pańska córka. Pan też powinien…

 – Przed nią w pierwszej kolejności.

 Przeniosłem spojrzenie z maty, na której dwa niewiarygodnie powyginane tygrysy gotowały się do walki, na jedwabny fartuch gospodarza, pełen wyhaftowanych czarnych smoków. Jego rękawy były tak szerokie, że pomyślałem, iż można byłoby z nich zrobić spódnicę dla Shayli, a może nawet dwie. Podeszła Miriam, jednym ciągłym i płynnym ruchem uklękła, po czym postawiła przed nami malutkie pucharki sake. Nie, ona nie jest podobna do cyborga. I do wyspiarki też nie, mimo kimona, klamry we włosach i białych skarpetek, zastępujących kapcie.

 – Kir, proszę cię, zrozum, że ona jest przedstawicielem nowej cywilizacji – zapewnia mnie. – Nieważne, że ta cywilizacja na razie składa się tylko z jednego człowieka. W stosunkach między cywilizacjami powinno być równouprawnienie, zgadzasz się?

 – Tak.

 – My nie możemy czytać jej myśli, a ona nasze może. To narusza harmonię, a tarcza tylko ją przywraca. Weź też pod uwagę naszą mentalność. Wyspy to kraj bardzo mały i bardzo gęsto zaludniony. Tam praktycznie nie da się fizycznie odosobnić od innych i dlatego bardzo wysoko ceni się odosobnienie duchowe. Nawet twarz jest na pokaz dla innych. Nie na darmo o nas się mówi, że my, Japończycy, mamy sześć twarzy i trzy serca. Dusza to mała twierdza, do której nikt nie może wejść.

 – Ale ja niczego przed nią nie ukrywam.

 – Ty nieco odbiegasz od innych ludzi, jesteś… jak by to określić… nawiedziony – odpowiada Greb. – Ludzi we Wszechświecie jest mnóstwo i zdarzają się wśród nich różne odchylenia od normy. Jeśli są duże albo niebezpieczne, człowieka próbuje się leczyć. Twoje odchylenie jest niewielkie i nie jest niebezpieczne.

 – Dziękuję – nie mogłem znaleźć innej odpowiedzi.

 – Nie, to ja ci dziękuję. Shaylinka miała szczęście, że smoki znalazły ciebie. A szukały dwa i pół roku. Byłem przeciw twojej kandydaturze, ale widzę, że się pomyliłem. Twoje zdrowie!

 Wypijam podgrzane sake za swoje zdrowie. Tfu, świństwo. Rozmowę można uważać za skończoną, pora się pożegnać. Nie zrozumieliśmy się, trudno.

 – Mogę zobaczyć pokój, w którym mieszkała Shayla?

 Tak samo płynnie, jak usiadła, Miriam wstaje. Idę za nią do drugiej połowy domu. Nie ma tu ani zasłon, ani ruchomych ścianek z przetłuszczonego papieru. Styl europejski. Miriam po drodze ubiera kapcie, po czym dosłownie na sekundę znika za drzwiami i pojawia się już w czapce kowbojskiej i wytartych dżinsach.

 W pokoju Shayli bałagan – zupełnie jak w moim. Na ścianie wisi miecz w pochwie. Spojrzeniem proszę Miriam o pozwolenie i obnażam groźną broń. Możecie mi nie wierzyć, ale od razu wiem: tym mieczem walczono i zabijano. To nie żadna atrapa, to prawdziwa broń bojowa, grubo ciosana, z wgnieceniami i szczerbami na ostrzu. I nie pochodzi z muzeum. Stal klingi może niezmienna przetrwać wieki, ale drewno rękojeści się starzeje. Ma dwadzieścia do trzydziestu lat, nie więcej. Rozglądam się oszołomiony.

 – To miecz Wszechmogącego – mówi Miriam. Po jej twarzy widzę, że lepiej nie rozwijać tego tematu. – Kir, synku, zostań u nas na noc. Pokój gościnny jest wolny. A jak chcesz, to w wiosce jest kilka niezamieszkałych domków. Wybieraj, który chcesz.

 – Dziękuję, ale Shayla będzie się niepokoić. Ona nie wie, gdzie jestem.

 Stąd do mojego domu jest dokładnie tyle, co do zero-kabiny. Niecałe sto metrów i kilka cyfr kodu. Byłem w gościnie u kuzynów. Niepotrzebnie. Moja teściowa jest cyborgiem… A to ci dopiero!

 Piszę odpowiedzi na wszystkie listy, chcę wysłać. Komputer zamyśla się na dwie minuty, po czym odpowiada, że nie można nawiązać łączności. Jeszcze minutę tępo patrzę na ekran i – wybucham.Wkładam pas z bronią, chwytam kurtkę i radiostację – i biegiem do flyera. Po drodze wciskam przycisk łączności. Shayla odzywa się prawie natychmiast.

 – Nie ma łączności! – krzyczę. – Szykuj broń, lecę do ciebie!

 – Jakiej łączności?

 – Z zewnętrznym światem.

 – Uspokój się – odpowiada ze śmiechem Shayla – To ja tak zrobiłam.

 – Jak?

 – A czy ja wiem, jak? To ty wymyśliłeś, ja słowo w słowo przekazałam cyberom i zrobiły.

 Wymyśliłem? Ja??? Ach tak, wymyśliłem!... Było coś takiego. Akurat wtedy zapomniałem włączyć tarczę.

 – Po co, Niedźwiadku?

 – Aleś ty niedomyślny! Bo chcę naprawdę zwyciężyć, bez poddawania się. Żeby smoki zrozumiały! Inaczej przez całe życie będę się czuła jakby ktoś mi napluł w duszę.

 – Co, co?

 – A niechże cię! To nasza planeta, niech nie podglądają. Obiecałam myśleć dwa tygodnie. Niech przez ten czas gryzą sobie ogony.

 – A ja? Ja nie mam ogona.

 – Ssij łapkę. A co chcesz zrobić?

 – Wysłać pocztę. Koledzy, dziekanat…

 – To będzie długo trwało?

 – Parę minut.

 – Wyłączam. Powiesz mi, kiedy znowu można będzie włączyć.

 Wracam do domu, przeglądam świeżą pocztę i… znów chwytam radiostację.

 – Niedźwiadku, tu połowa listów jest do ciebie.

 Ściskam mocno tą nieznośną dziewczynkę. Boże, ależ zdążyłem się za nią stęsknić!

 – Kir, bo zmiażdżysz egzemplarz doświadczalny! – piszczy żałośnie. – Przecież to tylko na tydzień! Daję ci słowo, że nic nie zmaluję! I mnie jest jeszcze smutniej. Ty masz tylko jeden powód, a ja dwa.

 – Jak to: dwa?

 – Znowu nie tak zrozumiałeś. Pierwszy to ty, zgadłeś. A drugi – moje dzieciństwo się skończyło. Jestem teraz dorosła i bardzo świadoma. Prawie jak ty, bo nauczyłam się od ciebie. Ty jesteś kosmodesantowcem, a ja eksperymentatorem. Pierwszym w nowej dziedzinie. Poznajmy się:eksperymentator Shayla Kamurawa.

 – Z zaświadczeniem? – zażartowałem.

 – Głuptasie – Nie zrozumiała żartu, ale ściska mnie i wodzi palcami po mojej piesi.

 Ja też mam wiele spraw do załatwienia. Trzeba odwiedzić rodziców Tolana, gdyż im teraz trudno. Trzeba zajrzeć choć na dzień do moich przodków, wyciągnąć ich pod jakimś pretekstem z miasta i zapoznać z Shaylą. Trzeba złożyć wyrazy współczucia tym, którzy zawalili \zaliczenie i kupę bajek o smokach i mojej tajnej misji. I trzeba zajrzeć do dziekanatu, by załatwić przeniesienie na zaoczne. Kosmodesantowiec na zaocznym! Czysta kpina! Mar-razm!

 A Shayla wybiera się na planetę rozumnych dinozaurów. Artiom i Szalla jakoś załatwili jej wizę. Szkodniczki też tam przebywają. Dla Shayli to rodzone ciotki.

 – Jeszcze nie wszystko wiesz – chwali się. – One Wielkiego Smoka nazywają ojcem.

 – No i co z tego?

 – Nie kojarzysz?! Pomyśl, kim on jest w takim razie dla mnie?!

 – Ależ rodzinka mi się trafiła! Słuchaj, czy ty się go boisz? Rodzonego dziadka?

 – Boję się. Ale nie jego. Artiom specjalnie wybrał czas, kiedy go tam nie ma.

 Z cichym klaśnięciami nad placykiem pojawiają się dwa smoki i spadają z wysokości dwóch metrów. Samica musiała się porządnie uderzyć, gdyż ze strachem popiskuje, rozpościerając skrzydła. Oboje mają na głowach wiązane czapki hełmów-zagłuszaczy.

 – Poznajcie się – przedstawia ich Shayla – Szalla i… Kto to jest?

 – Benedykt, mój mąż – Szalla przedstawia swojego towarzysza. Ten uprzejmie kiwa głowę.

 Shayla z niedowierzaniem patrzy na nieznanego smoka i włazi na grzbiet Szalli. Macha mi ręką. Szalla rozpościera skrzydła, podnosi się metr nad ziemią i z klaśnięciem znika. Benedykt jeszcze raz kiwa mi głową, przysiada, podskakuje na wszystkich czterech łapach i także znika. Z tego, co wiem o zero-t, wynikałoby, że jest to kardynalne naruszenie zasad bezpieczeństwa. Finiszować można gdziekolwiek, ale startować należy z kabiny, gdyż w przeciwnym razie można zostać rozerwanym na pół. Widocznie smoki rzeczywiście nie podlegają prawom fizyki.

 Wracam do domu i wybieram kod mojego megalopolis, a potem domu. Jest mi wstyd. Będę musiał ukrywać przed rodzicami, że jestem żonaty Shayla jeszcze nie ma osiemnastu lat.

 – Już zupełnie bezpieczna. Wszystkie czynności życiowe w normie, ale niech jeszcze pośpi ze trzy-cztery dni.

 Patrzę na twarz Shayli pod grubą przeźroczystym wiekiem biowanny. Powolutku znika z niej wyraz bólu i przerażenia. Coś ty narobiła, moja ukochana.

 – Jak mogliście…

 – Bezsensowny przypadek – usprawiedliwia się Artiom. Szalla tylko płacze.

 – Bardzo ją bolało?

 – Bardzo – przyznaje Catherine. – Jakby chluśnięto jej w mózg wrzątkiem.

 Jej ogon nerwowo zamiata podłogę. Dwa dinozaury, większe od niedźwiedzi grizzly, stoją za pulpitami, obserwując ekrany. W kącie cicho przerzucają się przekleństwami Szkodniczki: Miri-one i Miri-two, siostry Miriam.

 – Kir, daję ci słowo, że to nie moja wina – pochlipuje Szalla. – Komandor miał wrócić dopiero za dwa dni.

 – To my go wezwałyśmy – mówi któraś z sióstr-Szkodniczek. – To nasza wina.

 – Jak to się stało? – pytam.

 – Mogę pokazać – odzywa się Artiom.

 Idę za nim. Szkodniczki i Catherine idą za nami, Szalla zostaje przy aparaturze medycznej. Układ bazy znajomy, typowy, jeśli się nie mylę, projekt 3(D). Skręcamy do sali ekranowej, gdzie smok włącza ekran panoramiczny i wydaje głosowe komendy komputerowi.

 Na ekranie Shayla w otoczeniu trójki smoków rozmawia o czymś z dinozaurami. Do jednego z dinozaurów podbiega dziecko, ten bierze go na ręce i wkłada do torby na brzuchu. Z torby od razu wysuwa się główka dziecka, a Shayla wyciąga rękę i głaszcze ją.

 – Zaraz na bazę przybędzie Komandor – komentuje Artiom.

 Dinozaur z dzieckiem odchodzi. Shayla odwraca się ku Szalli. Nagle jej twarz wykrzywia się w grymasie, zatyka dłońmi uszy, otwiera usra w bezdźwięcznym krzyku i pada na kolana. Skala się zmienia: widzę, jak do zastygłej grupy korytarzem pędzi wielkimi skokami smok.

 – Komandor usłyszał krzyk bólu i rzucił się na pomoc – wyjaśnia Artiom. – Przecież nie wiedział, że to on sam jest jego przyczyną.

 Od grupy oddzielają się dwa smoki i pędzą mu na spotkanie. To Catherine i Szalla. Catherine blokuje piersią Wielkiego Smoka, ten, zdumiony, przewraca się na ścianę. Szalla chwyta go za ogon i, wytężając wszystkie siły, ciągnie po korytarzu. Catherine pomaga jej i szybko się oddalają. Artiom zatrzymuje film. Obwisła aż do podłogi szczęka i okrągłe ze zdumienia oczy Wielkiego Smoka, którego dwie prawnuczki biegiem wloką gdzieś za ogon – to w innych okolicznościach mogłoby być śmieszne, ale nie w tych.

 – Więc co tam właściwie się stało? – pytam.

 – Komandor ma bardzo mocne biopole. Tak mocne, że zwykłe kobiety, nie telepatki, czują go z odległości ponad stu metrów. Spalił Shayli końcówki nerwów – odpowiada Catherine.

 Głupio, ale głupio! Rzucił się na pomoc i omal nie zabił. Ale kto by się nie rzucił?

 – Kir, myśmy nie wiedziały, co się dzieje – mówi podchodząc Miri-two. – Komandora w bazie nie ma, a wszystkie smoki są w hełmach-zagłuszczach. Nikt nic nam nie wyjaśnia…

 – Shayla prosiła, żeby nic nie mówić siostrzyczkom. Coś o czystości eksperymentu – komunikuje Artiom. – A dla siostrzyczek tajemnica – to jak czerwona płachta dla byka.

 – Kir, nie bój się. Z Shaylinką wszystko będzie dobrze – zapewnia mnie Catherine.

 – Słowo smoka? – pytam. Smoczyca w milczeniu bada podłogę. To też odpowiedź.

 – To jest fatum, Kir – mówi wreszcie.

 Wychodzę na ganek, siadam obok Shayli. Mgła. Szaro i chłodno. Zaczął się sezon mgieł.

 – Sto godzin szczęścia… – mamroczę.

 – Co?

 – Nic. Wiersz mi się przyczepił:

 Sto godzin szczęścia

 Najczystszego, bez oszustwa.

 Sto godzin szczęścia…

 Czy to mało?

 Wypłukiwałam je jak piasek złoty,

 Zbierałam niestrudzenie, z miłością,

 Gromadziłam po ziarenku, po iskierce,

 Stwarzałam z mgły i z dymu…

 – Kir, wyłącz tarczę – prosi Shayla.

 – Nie mam na sobie tarczy. Jest w szafce.

 – Jasne – odpowiada. Dłuższą chwilę milczymy, po czym mówi: – Opowiedziałam Catherine o naszym udawaniu. Mrok to i tak świnia, ale Lobika żal. Zamknęli się w laboratorium i przez dwa tygodnie szukali w moich genach telepatii projekcyjnej.

 – Trudno znaleźć czarnego kota w ciemnym pokoju.

 – Ta-ak – zgadza się Shayla. Zdejmuję kurtkę, wkładam na jej ramiona. Zimno. – Sto godzin – to cztery dni, cztery noce i jeszcze troszeczkę. – zgina palce. Zgięła trzy, w zamyśleniu patrzy na mały. W domu słychać kroki.

 – Twój ojciec – mówię. – Powiedziałem mu, że na naszej planecie noszenie tarczy jest zakazane.

 Na ganek wychodzi Greb Kamurawa. W ręce ostrożnie, jakby garść wody, niesie medalion. Siada z lewej strony Shayli i, zamachnąwszy się, wyrzuca medalion w mgłę. Złociste świecidełko zawisa na gałązce krzaka, uczepione za łańcuszek.

 – Za późno, papo. Ogłuchłam.

 – Wybacz, Motylku. Niepotrzebnie zgodziłem się na doświadczenie.

 – Nie, tato. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wiele mi dało. Ja też sobie nie wyobrażałam… aż do dzisiaj.

 – A może to jeszcze przejdzie? Co, Niedźwiadku?

 – Jeszcze nie wsiąkłeś, Kir? To już nieważne. Eksperyment spalił na panewce. Nie da się skakać przez przepaść na dwie raty. Nie da się na kutrze zamontować silnika statku. Na odwrót zresztą też się nie da.

 – Ale…

 – A jeśli Komandor przejdzie obok mojego dziecka? Kir, jestem pilotem-oblatywaczem nowego podgatunku Homo sapiens. Muszę myśleć nie o sobie, a o ludzkości. Opracowanie korzystne i funkcjonalne. Idea wręcz wspaniała. Ale mózg… Wykonanie jest do niczego.

 Smoki, jak zawsze, poradziły sobie z zadaniem. Podczas gdy ja się wahałem, one, z moją częściowo mimowolną, pomocą, przekształciły Shaylę z wilczka w oblatywacza ludzkiego mózgu. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, co robię. Teraz mała jest pełna odpowiedzialności. Ma cel w życiu. Mieć cel w życiu – to szczęście. Nie, miała cel. Próba się nie udała.

 Schodzimy z ganku, idziemy na wpół zarośniętą ścieżką.

 Sto godzin szczęścia,

 Najczystszego, bez oszustwa.

 Sto godzin szczęścia…

 Czy to mało?

 Sto godzin – na całe życie? Cóż, niech będzie. Shayla miała mniej.

 – Co teraz? – pyta Greb.

 – Są warianty – odpowiada Shayla i ze złością dłubie obcasem ziemię.

**Koniec**

1. Czeburaszka – tytułowy bohater rosyjskiego serialu animowanego dla najmłodszych. [↑](#footnote-ref-2)